

POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka
UMCS
Lublin

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 22-go lipca 1944r.

Rok VI. Nr. 29

CO MA URATOWAĆ NIEMCY?

Wojna weszła w krytyczny okres. Rozstrzygają się ostatecznie nie tylko wojskowe losy krajów wplątanych w zamęt wojenny, rozpoczyna się już rozgrywka polityczna o wygranie względnie przegranej pokój. Ponieważ w Europie wojna toczy się przeciwko Niemcom, rozpatrzyć przede wszystkim polityczne plany, nadzieje i możliwości naszego przeciwnika.

Kierownicy Trzeciej Rzeszy liczyli zawsze na pełne zwycięstwo Niemiec. Polityka ich była budowana zawsze na błędnej ocenie przeciwników, uchyla się więc od bezstronnego rozbioru. Miała też ona, i do tej chwili ma charakter hazardu, więc trudno wysnuwać z niej wnioski rozumowe. Można natomiast zestawiać oczekiwania tych kół politycznych w Niemczech, które, nie stanowiąc jądra partii narodowo-socjalistycznej, poszły jednak swego czasu na udzielenie pełnego poparcia i współpracy hitleryzmowi. Chodzi tu głównie o klikę generałską, wielkich przemysłowców oraz konserwatystów niemieckich. Z szeregu raportów neutralnych obserwatorów wynika, że te wpływy odłamy niemieckiej opinii kalkulowały czy kalkulują mniej więcej następująco:

1/ Wygranie wojny przez Niemcy otworzyłyby drogę do światowego panowania narodu niemieckiego i przyniosłyby mu tak wielkie korzyści, że nie ma poświęceń, których dla osiągnięcia tego celu nie warto by ponieść.

2/ Niepowodzenia wojskowe niekoniecznie oznaczają klęskę. Przegrana wojna może skończyć się w pewnej chwili pokojem rokowanym. Wielkie zdobycze terytorialne uzyskane przez Niemców w pierwszych okresach bieżącej wojny dają możliwość rokowania o pokój na takich zasadach, że Rzesza nie tylko nie musi wyjść z wojny terytorialnie okrojona, ale może także pozostać politycznie silniejsza, niż była w 1939 roku.

3/ Pełna militarna klęska Niemiec po okresie zawojowania przez naród niemiecki całej Europy, po okresie zagospodarowania tej Europy według planów niemieckich oraz po okresie skolonizowania nowych obszarów tej Europy niemiecką ludnością /zachodnie dzielnice Polski, północna Jugosławia, Alzacja i Lotaryngia, okręgi Eupen i Melmedy, Luksemburg/ postawi zwycięzców przed niebywałymi trudnościami. Trudności tych Sprzymierzonych sami nie rozwiążą. Będą oni, dzięki zaistniałym w ciągu działań wojennych przemianom w Europie, skazani na współpracę z Niemcami. Niemcy mogą stracić, i zapewne przy pełnej militarnej klęsce stracą, wszystkie zdobyte tereny, ale z zajętego w Europie kierowniczego stanowiska już się usunąć nie dadzą. Jeżeli tego europejskiego stanowiska Niemiec nie obronią ludzie z wewnątrz Rzeszy, to o utrzymanie go postara się — emigracja. I Niemcy znowu staną się pepkiem, jeżeli nie świata, to na pewno Europy.

Trzy wymienione tu punkty niemieckiego rozumowania nie wyczerpują wszystkich spekulacji naszych przeciwników. Mówią jednak wiele. Przede wszystkim tłumaczy, dlaczego nie ujawniła się dotąd wewnątrz Niemiec jakaś wyraźna opozycja. Tłumaczy, dlaczego od 1942, gdy stało się już jasne, że Niemcy nie mogą wygrać wojny wojskowo, zaczęto w Niemczech tyle mówić o Europie, jako całości, bronionej

przez Trzecią Rzeszę przed bolszewizacją. Tłumaczy także, dlaczego Niemcy spekulują — już nie na zwycięstwo, które jest nie do osiągnięcia, ale — na czas.

Trzecia Rzesza jest wynikiem rozwoju niemieckiej praktyki rządzenia i niemieckich nauk politycznych na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Narodowy socjalizm nie jest ruchem oderwanym od przeszłości Niemiec, jest wynikiem tej przeszłości. Fakt ten niesłychanie utrudnia snuć wszelkich planów co do urzędzenia Niemiec po tej wojnie. Każę się bowiem liczyć z nawarstwieniem poglądów, których przegrana Niemiec w tej wojnie nie usunie automatycznie z zakamarków mózgowych narodu niemieckiego.

Jeden z emigrantów niemieckich, Hans W. Weigert, opublikował w tym roku grube tomisko, wydane przez Oxford University Press w Nowym Yorku p.t. "Generals and Geographers" /Generałowie i geografowie/. Czytanie tej książki kończy się smutnym, ponownym stwierdzeniem ciągłości i głębokości zakorzenienia w społeczeństwie niemieckim idei — wielkich przestrzeni, skazanych "prawami" tak zwanej geopolityki na to, aby były we władaniu narodu niemieckiego. Jak wykorzystać z wyobraźni niemieckich mas tę niezdrową wizję panowania nad połową świata?

Grzebanie u źródeł pangermanizmu, jako niemieckiej doktryny uzyskania jednego z górujących stanowisk w polityce światowej, prowadzi nie tylko do ponurych myśli, ale i do wniosków bardzo charakterystycznych i pozytywne dla praktycznych rozstrzygnięć polityki bieżącej. Pangermanizm jest przy tym nie tylko wynikiem działalności publicystycznej poważnych pisarzy niemieckich, nie tylko wynikiem niemieckiej filozofii narodowej.

Pobudzali i zasilali go często argumentami pisarze najzupelniej

niepoważni, głupio nadęci. Pozostaje ciągle jeszcze tajemnicą duszy Niemców, skąd się brał i bierze ten ogromny wpływ ludzi niekompetentnych na naród "poetów i myślicieli", na równi — zupełnie na równi — z wpływem filozofów, historyków, uczonych. Jak powstrzymać w przyszłości oddziaływanie na wyobraźnię polityczną narodu niemieckiego nie tylko profesorów, ale i demagogicznych nieuków? A tych drugich po wojnie na pewno nie zabraknie. Zatrzymajmy jednak na chwilę naszą wagę na pisarzach poważniejszych.

W drugiej połowie XIX-go wieku opublikował szereg politycznych książek Constantin Frantz, pisarz, który skądinąd mógłby wydawać się nam sympatyczny, gdyż ostro potępił rozbiory Polski. W jednej z tych publikacji "Die Weltpolitik" — Polityka światowa — 1882/ przemówił za stworzenie wielkiej konfederacji europejskiej, do której weszłyby obok Niemiec — m.i. Austria, Holandia, Belgia, Szwajcaria, całe Balkany i Polska, ale tylko w granicach zaboru rosyjskiego. Starczyż zająć chociażby do "Encyclopedia Britanica" /Encyklopedia Brytyjska/, aby stwierdzić, że autor ten jest wymieniony jako jeden z wielu ojców duchowych szowinistycznego *Alldeutscher Verband* /Związek wszechniemiecki/ i tych pisarzy wszechniemieckich, którzy byli czy są adwokatami podporządkowania całej Europy Niemcom.

Członek Reichstagu, wybitny teolog, pastor dr. F. Naumann w swej osławionej "Mittel Europa" /Europa Środkowa/, wydanej w czasie Pierwszej Wojny Światowej, ten pomysł konfederacyjny rozwinął w federację środkowo-europejską. Miała ona według niego obejmować obszar od Antwerpii i Morza Północnego aż po Basę i Zatokę Perską, sięgając także do Afryki. Ośrodkiem tej federacji byłyby oczywiście Niemcy, pierwszym krokiem do niej centralno-europejska unia celna a celem —

przeciwstawienie się Stanom Zjednoczonym i Imperium Brytyjskiemu.

Pastor Naumann był bliższy Hitlerowi, niż Bismarck. Naumann nie cofał się przed objęciem wpływami niemieckimi Balkanów; Bismarck unikał mieszania się w sprawy bałkańskie, nie chcąc na tym terenie starcia z polityką rosyjską. Temu przypisać należy ukazanie się w tej wojnie pism Bismarcka w Moskwie w tłumaczeniu uczonego sowieckiego Yerusalimsky'ego.

Niebezpiecznymi muszą wydać się mniejszym państwom europejskim nie tylko europejskie pomysły hitlerowskiego porządku. Nie zawadzi także ostrożność w ocenie powojennych planów niemieckich emigrantów, których trudno oderwać od rozwoju niemieckich doktryn politycznych, skoro podkreślają swą łączność z narodem niemieckim.

Większość emigrantów niemieckich propaguje obecnie bardzo zdecydowanie pomysł federacji europejskiej, jako środka na rozwiązanie wszystkich trudności politycznych Europy. Niemcy miałyby stać się jak najszybciej członkiem tej federacji i miałyby zachować swą siłę przemysłową, która by im umożliwiła "gospodarczy" wkład we współpracę narodów. Najbardziej szczegółowo rozwinął ostatnio ten plan w Stanach Zjednoczonych, wybitny socjalistyczny członek wejmarskiego Reichstagu a obecnie naczelny redaktor nowojorskiej "Volkszeitung" /Gazeta Ludowa/ dr. Gerhart H. Seger.

Zawzięciem federacji europejskiej miałyby być — jego zdaniem — unia celna narodów europejskich oraz wprowadzenie wspólnej waluty. Tą drogą dojdzie się do gospodarczego scalenia kontynentu a wynikiem tego gospodarczego scalenia będzie zniknięcie — sprawy granic. Według Segera ośrodkiem federacji europejskiej winny być Niemcy dla tej prostej — jego

zdaniem — przyczyny, iż 80 milionowy naród niemiecki /więc zalicza Austrię do Rzeszy/ stanowi największą jedność narodową w Europie. Szczególny posmak ma zdanie pana Segera, że wielu robotników zagranicznych nie wyjedzie już z Niemiec po tej wojnie, gdyż poženili się tam z Niemkami. Czyżby Seger uważał, że to w pewnej mierze wyrówna niemieckie straty wojenne w ludziach?

Związek myślowy Segera z Frantzem i Naumannem jest widoczny. Myślę, że przyklasneliby mu z wewnątrz Trzeciej Rzeszy ludzie spekulujący na to, iż nawet po klęsce nie da się zepchnąć Niemiec z ich europejskiego stanowiska i że bez Niemców zwycięzcy nie będą w stanie urządzić Europy. I na pewno nie raziłby ich wcale fakt, że pomysł takiego rodzaju wychodzi od socjalisty i mógłby być wprowadzony w życie przez lewicę.

Nie braknie w Niemczech w żadnej ze społecznych grup patriotów, niemieckich patriotów, którym jest w ostatecznym razie obojętne, jaka partia polityczna ratować będzie Niemcy od zagłady. To tłumaczyłoby także w pewnej mierze pogłoskę dotąd niepotwierdzoną, że generałowie troskliwie opiekują się niektórymi wybitnymi socjalistami, pozostałymi w Rzeszy hitlerowskiej. Przyjdzie chwila, w której trzeba się będzie starać imiennie, po nazwisku, ujawniać te powiązania.

Nie jest zamiarem niniejszego artykułu wyciąganie wniosków co do odpowiedzi na to Sprzymierzonych czy polityki polskiej. Artykuł ma tylko charakter sprawozdawczy. Nie mniej od jednej uwagi powstrzymać się nie można; jest zbyt istotna dla zrozumienia politycznych posunięć Niemców, więc nie tylko *Hitlera*.

Polityka niemiecka jest konsekwentna. Od chwili narodowego zjednoczenia Niemiec w początku XIX wieku, uparcie i niezmiennie dąży do jednego celu: zdobycia dla Niemiec stanowiska górującego w Europie, aby na tej przewadze budować światowy wpływ Rzeszy. Z drogi do tego celu nie sprządzają Niemców żadne trudności. Mimo nacisku zewnętrznego, Niemcy nie tylko nie wyzlekają się swych planów, ale nawet ich nie zmieniają. Były w dziejach nowoczesnych Niemiec bardzo ciężkie chwile, są i dzisiaj, kiedy cały świat jest przeciwko nim. Mimo tych trudności upór w osiągnięciu celu nie załamuje się.

Czy można by to samo powiedzieć o polskich projektach politycznych? Czy nie jest raczej u Polaków tak, że porzucają plany /nie taktykę, lecz plany/ za ładą nieprzyjaznym podmuchem wiatru? Porównanie Polski z Niemcami nasuwa się także ze względu na geograficzne położenie obydwu krajów. Oba w ciągu wieków miały i do dnia dzisiejszego mają otwarte na wszystkie strony granice. Oba leżą na wielkiej europejskiej równinie, na której ścierały i ścierają się różne wpływy. Polska jest mniejsza — powiecie. Niemcy nowoczesne też odrazu nie były silne; ich polityczny związek — Prusy były początkowo tworem geograficznie jeszcze gorzej położonym, niż Polska, a ostały się i rozrosły.

Byłe by być w dążeniach konsekwentnym.

8 lipca

JÓZEF WINIEWICZ

MATKA BOSKA WYSIEDLONA



Jedną z największych potworności praktykowanych przez Niemców na ziemiach polskich są przymusowe wysiedlenia z ziem, z warsztatów pracy. Odbывают się one w sposób niezmiernie brutalny: w pośpiechu i bez jakiegokolwiek odszkodowania. Cyfra wysiedlonych z polskich Ziemi Zachodnich sięgnęła półtora miliona ludzi.

W związku z tą nieludzką praktyką pozostaje wzruszający dokument, wydany przez organizację podziemną, który dziś reprodukujemy — obrazek "Matki Boskiej Wysiedlonej" i modlitwa do Niej. O sprawności pracy podziemnej świadczy fakt, że ten ulotny druk jest wykonany autotypią trójbarwną.

O MATKO NAJSWIĘTSZA . . .

Jęczymy w niewoli, miasta w gruzach, wyludnione.

Najlepszi synowie mrą w katordze.

Na rozdźwiękach szubienice.

Wdowy, sieroty, biedacy mrą z niedostatku i chorób.

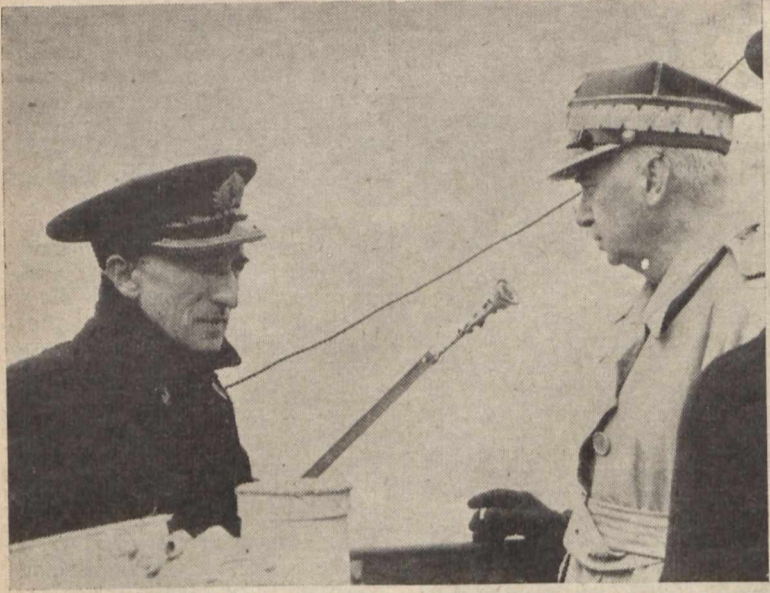
Rozpacz targa serca wyrrywanych z łona rodzin, śmiertelna trwoga ścisła obawą o najbliższych.

Twe wizerunki pohanbiono, figury usuwa się, chcąc i Ciebie wysiedlić.

Matuchno . . .

Ulituj się, racz męczarnie nasze okazać wraz z Twym przebitym sercem Umilowanemu Synaczkowi, by przyspieszył dzień Zmartwychwstania, abys Ty, Mario "Wysiedlona" mogła niepodzielnie nam królować w kościele, przy ogniskach rodzinnych, w warsztatach i na rozstajach dróg. Amen.

Kwiaty normandzkiego brzegu



Naczelnny Wódz z dowódcą O.R.P. "Błyskawica"

PATROL DZIENNY

Było to raniem 26-go czerwca. "Błyskawica" zbudziła się nieco wcześniej, żeby po codziennych zajęciach przy sprzątnięciu okrętu zdążyć przebrać się na granatowo. No i naturalnie deszcz padał tego dnia i chmury wisiały nisko, zasłaniając przed nami i niebo i morze, gubiące się w szarzyźnie.

Krótko po 9-tej motorówka przybiła do trapu i na pokład wszedł Wódz Naczelnny, który przyjechał na inspekcję okrętu. Nicodzienna to była inspekcja. Daleka od portowej parady. Naczelnny Wódz przyjechał na "Błyskawicę", aby pójść na jej pokładzie na patrol. Normalny patrol operacyjny. To też odtoczyliśmy niemal natychmiast po wzięciu gen. Sosnkowskiego na pokład.

Tym razem mieliśmy patrolować za dnia. I mieliśmy podejść pod same brzegi Francji w miejscach opanowanych przez wojska sprzymierzone. Dla nas wszystkich był to więc patrol atrakcyjny nie tylko z powodu obecności Naczelnego Wodza, ale również ze względu na zadośćuczynienie głębokim tęsknotom, przeżywanym dotąd niemal co noc bez spełnienia, któremu mrok — mrok nocny — przeszkadzał, kryjąc przed wzrokiem przedmiot naszego pożądania: brzeg Francji.

Naczelnny Wódz spędził całe przedpołudnie na pomoście, interesując się przede wszystkim prowadzeniem okrętu przez wody, na których nieraz zdarzały się nieprzyjacielskie miny, zdradziecko zastawione pod samymi brzegami Anglii. Oóż tu dużo mówić, jeżeli jeszcze teraz to się zdarza.

O.R.P. "Piorun" oddał honory, przecinając nam drogę, kilka alianckich okrętów podwodnych minęło nas w półzanurzeniu. I zostaliśmy sami wśród spokojnej, szarej wody, mglistego nieba i deszczu, nieustannie kroplącego od niechcenia.

Na pomoście co chwilę meldowano samoloty. To zbliżyły się do nas, to się oddalały. Były to samoloty alianckie, lecące i powracające z wypraw nad Francję. Czasami zniżyły swój lot, aby się nam przypatrzyć z bliska i rozpoznając okręt sojuszniczy, odlecieć w swoim kierunku. Czasami w oddali ukazywały się wielkie konwoje, niewiadomo skąd i dokąd idące.

Trwało tak mniej więcej do południa. Potem ruch na Kanale zmienił swój charakter. Oczom naszym ukazały się wielkie barki, desantowe, jacyś żołnierze kiwali nam z daleka, zobaczywszy polską banderę, ścigające kręciły się coraz gęściej i coraz więcej spotykaliśmy statków handlowych, holujących za sobą tratwy ze sprzętem. Aż wreszcie weszliśmy w tak wielkie zgrupowanie okrętów i statków, że wszędzie — jak okiem sięgnąć — było je widać. Przed nami, obok nas, za nami.

Naczelnny Wódz znowu powrócił na pomost po długim, prawie dwugodzinnym pobycie w maszynach, gdzie rozmawiał z załogą. Zgrzany był co się zowie. Bo temperatura w maszynach jest istotnie przykry i trudno jest wytrzymać w niej w normalnym ubraniu. Marynarze pracują tam zazwyczaj rozebrani do maximum.

W pewnej chwili w pobliżu okrę-

tu ukazał się na powierzchni jakiś przedmiot, przypominający lotniczą łódeczkę ratunkową, poza którą kiwał się kształt dziwaczny, do człowieka z rozwartymi ramionami podobny. "Błyskawica" skręciła, kierując się jeszcze bliżej "rozbitka". Ale okazało się, że to były resztki balonu. Pewno urwał się na wietrze i spadł do morza, na którego powierzchnię trzymał się ogonem. Za nim wygięła się najzwyczajniejsza linka.

Wróciliśmy na kurs. Deszcz przestał padać i na niebie rozjaśniły się aż dwie tęcze, aby jeszcze jaskrawiej lśnić w blasku słońca, które niewiadomo skąd znalazło się nad nami, wskazując przedmiot tyłu i tak dawnych pożądań: brzeg.

Na lewo zólcila się piaszczysta plaża, a poza nią zieleniał normandzki las. Nieco dalej miasteczko tuliło się małymi domkami do wieżycy kościelnej, na której kręcił się na szpikulcu kogut galijski — symbol Francji.

Wieża kościelna była nadwątlona pociskami, wśród małych domków miasteczka widać było rany po zburzonych, wyrwanych z szeregu zlonach. Gruzy przyglądały się nam z prawej strony. Ale wyobrażałem sobie, że zobaczę znacznie większe zniszczenie, niż to, które mogłem oglądać przez lunetę z okrętu.

"Błyskawicę" pozdrowił ktoś z "sąsiedztwa". Okazało się, że na innym okręcie alianckim, znajdującym się w pobliżu, był oficer angielski, który znał "Błyskawicę" z Morza Śródziemnego. Więc przysłał pozdrowienia dla nas. Odpowiedzieliśmy mu serdecznie.

Tuż koło lewej burty ukazały się na wodzie połamane deski, ropa i jakieś pakiety, wśród których leżał na fali trup człowieka, ubranego w granatowe spodnie i pasiastą koszulkę, jakich często używają marynarze. Napuchł już nieco od wody... Minęliśmy nieszcześnie, aby iść dalej i znowu wpaść w łódź, który już się był zaciągnął mgłą i deszczem, podcinającym z ukosa.

Pancerniki-obrzymy majestatycznie wyrastały ponad ogromną ilość krążowników i kontrtorpedowców, których nawet nie usiłowaliśmy policzyć — tyle ich było. A wśród okrętów posuwały się i stały na kotwicach statki i barki, holowniki, ciągnące tratwy i jakieś niewiadomo skąd przybyłe motorówki, uwijające się szybko w potężnym zgrupowaniu okrętów i statków.

Dowódca sektora morskiego pozdrowił sygnałem Naczelnego Wodza, wyznaczając "Błyskawicę" miejsce i zapraszając gen. Sosnkowskiego, aby zechciał tu spędzić noc i udać się nazajutrz do Normandii. Naczelnny Wódz przyjął zaproszenie, po którym nastąpiły wizyty, trwające do wieczora.

Oczywiście, że ledwie tylko Naczelnny Wódz przyjął zaproszenie zwiedzenia Normandii wyzwolonej, znalazłem się tuż obok, prosząc, aby zabrał mnie ze sobą.

—Pan pewno pojedzie z Panem Generałem na ląd? — zapytał młody zakopiańczyk.

—Jeszcze nie wiem, ale oczywiście zrobię wszystko, aby pojechać.

—Mam do pana prośbę: niech mi pan przywiezie kwiatek z brzegu Francji. Zwyczajny, polny kwiatek, albo po prostu jedną

trawkę, lub listek...

Na pokładzie stała cała grupa marynarzy. Jeden z nich, nie mający z Francją nic wspólnego — podszedł do mnie z tą samą prośbą. Wieczorem w messie kapitan-mechanik stwierdził całkiem dla mnie nieoczekiwanie:

—Będzie pan frajer, jeżeli nie pojedzie z Naczelnym Wodzem na ląd. Niech mi pan przywiezie kilka kwiatków, albo zieleni. Chcę to dać moim znajomym paniom, które proszą wszystkich marynarzy o przywiezienie kwiatów z Francji. Składa się tak, że chyba będę pierwszy...

Mgła pogrążyła nas w gęstej wacie, poprzez którą nie było widać nic — nawet gwiazd. I nic przez tę gęstą zasłonę mgły nie mogło się przebić. Chyba tylko niespełniona tęsknota, chyba tylko miłość najserdeczniejsza, która kazała marynarzom wdychać w wieczornej ciszy podczas patrolów ku niej — uwodzicielce uroczej — ku Francji.

JADĘ NA LĄD

Wieczór pod brzegami Francji zakończył się późno. Naczelnny Wódz chodził długo po pokładzie i po pomieszczeniach marynarzów, póki marynarze mogli palić światło. Potem przyszedł do messy na rozmowę z oficerami. Przysłuchiwałem się rozmowie, która dotyczyła w gruncie rzeczy tylko spraw morskich.

Naczelnny Wódz spojrzął na skromne ściany messy i wstał. Za interesowała go niewielka szafka, w której znajdowały się rysunki. Jest to historia "Błyskawicy" w obrazach. Ale trzeba wiedzieć, że "Błyskawica" należy do tych rzadkich okrętów Rzeczypospolitej, które pamiętają Gdynię i Oksywie.

Historia "Błyskawicy" nie jest specjalną atrakcją z tego względu, że powtarza się w niej ciągle to samo: atak okrętów podwodnych, atak samolotów nieprzyjacielskich, ratowanie rozbitków — no i znowu atak lotniczy, ustępujący miejsca nowemu atakowi niemieckich okrętów podwodnych. Są jednak i całkiem inne momenty. Oto mały rysunek przedstawia pożegnanie z Afryką. Kontrtorpedowiec pod polską banderą to "Błyskawica", na brzegu zaś wielka budowla, w miarę możliwości stylizowana na "marokański arabizm".

Na niej napis głosi dowcipnie: "SCHRONISKO IM. KRÓLOWEJ JADWIGI" — "SZUKASZ ŻONY — WSTĄP NA CHWILE". Dwie małe dziewczynki na brzegu powiewają okrętowi chusteczkami. To "tubylcze" dziewczynki. Jedna płacze, druga zaś trzeźwo podchodzi do życia i odejścia "Błyskawicy". Dowodem tej trzeźwości jest trzymana pod pachą książka "Małżeństwo doskonałe".

Śmiejemy się również z kilku innych obrazków, mających dla wszystkich związanych z "Błyskawicą" znacznie więcej, niż dowcip — mających leżkę rozczulenia, towarzyszącego zawsze przebieganiu własnych wspomnień.

Przysłuchuję się rozmowom i patrzę. Ale w gruncie rzeczy myśl mam całkowicie pochłoniętą drobnym szczegółem. Tuż nad głową Naczelnego Wodza wisi fotografia. Jedyna, jaką mamy w messie "Błyskawicy". Wisi od dawna, patrząc na wszystkich i wszystko głębokim spojrzeniem spod bujnych, krzaczastych brwi. Lekko pochylona głowa zdradza zadumę, zmarszczkami opadającą na czoło i na dobrą, kochaną twarz. Długi wąs pokrywa wargi, które na tej fotografii nie uśmiechają się...

I nie mogę oderwać oczu od tego symbolicznego widoku. Komentant i Szef. Szczęśliwy, zwycięski Pierwszy Marszałek Polski i obecny Naczelnny Wódz.

Nazajutrz gen. Sosnkowski powiedział mi, że bardzo mu przykro, ale nie chciałby mnie ze sobą zabierać, bo "jakże to będzie wyglądało, jeżeli przyjedzie na brzeg francuski z korespondentem wojennym? Ja nie chcę robić sobie żadnej reklamy"...

Na przekonywanie nie było już czasu, bo właśnie wchodził generał angielski, który miał towarzyszyć gen. Sosnkowskiemu podczas wizyty na brzegu francuskim. I tu przyszedł mi z odsieczą dowódca "Błyskawicy".

—Mamy na pokładzie polskiego korespondenta morskiego. Sądzę,

że będzie mógł towarzyszyć Naczelnemu Wodzowi.

—Naturalnie — odpowiedział Anglik.

Jadę na brzeg Normandii! I chociaż chwila jest do tego najmniej odpowiednia, odczuwam wyrażną radość /mój Boże — słabość ludzka/, że jestem pierwszym polskim korespondentem wojennym, który będzie we Francji.

—Niech pan nie zapomni o kwiatkach — doleciało mnie, kiedy byłem już na trapie.

Nie wiem, kto to powiedział.

"LA DOUCE ET BELLE"

Najciekawsze rzeczy widziałem na morzu. Ale pisać o nich nie będę, bo jeszcze nie czas pisać o tym, jak wygląda morze tuż pod brzegami Normandii. Myślę też, że już wkrótce, kiedy Niemcy będą odparci na dostateczną odległość, napiszę.

Jedno mogę napisać już dzisiaj: widziałem potęgę. Nie chciałbym, aby mój Czytelnik odnosił to określenie jedynie do ilości okrętów, statków czy sprzętu. Bo to jeszcze nie jest potęga. Dla mnie potęgą jest ten niesłychany wysiłek organizacyjny Aliantów, który pozwolił im przemysłać najdrobniejsze szczegóły, bez których absolutnie nie można sobie wyobrazić powodzenia tej potężnej operacji.

Po drugiej — niemieckiej — stronie nie widziałem żadnej potęgi. Widziałem duże bunkry na normandzkiej plaży. Przypominały mi one wybrzeże szkockie w roku 1940-ym. Jeżeli to miał być wał atlantycki, twierdzą, że w Szkocji w r. 1940-ym obrona wybrzeża nie była gorsza. Oprócz bunkrów, zaopatrzonych w ciężką broń maszynową i przeciwpancerną, oprócz nieodzownych dla każdego bunkra peryskopów, na plaży widziałem zwoje i zasieki z drutu kolczastego, biegnące od jednego bunkra do drugiego. Za zasiekami zaczynały się pola minowe.

Czy to jest t.zw. "wał atlantycki" — nie wiem. Sądzę, że nie. Bo nie mogę uwierzyć, aby te drobne przeszkody w przesadnej terminologii Goebbelsa urastały do miana "fortyfikacji". Widocznie po prostu na tym odcinku Niemcy nie spodziewali się ataku, skoro nie zbudowali nic więcej.

Za plażą zieleniły się lasy i pola. Za plażą zaczynała się "la douce et belle France" /słodka i piękna Francja/. Gdy samochód wyostał się na drogę, pierwsze wrażenie moje było ponownym dopuszczeniem do świadomości faktu, że jestem w Europie. Oto po lewej stronie drogi zauważyłem liczne napisy: "DRIVE ON YOUR RIGHT". I myślę, że mi niejednym z Czytelników zazdrości, iż jeździłem prawą stroną... Drobiazg to, ale i wielka przyjemność zarazem.

Sianokosy były już skończone. Po obu stronach drogi stały zmoczone wczorajszym deszczem kopy siana. Ludzie uwijali się przy okopywaniu ziemniaków, zaczynających kwitnąć. Byli poważni, ubrani tak, jak zawsze rolnicy przy pracy byli ubrani we Francji. Różnicy nie zauważyłem żadnej.

Natomiast w wioskach, osiedlach, miasteczkach i miastach różnica w ubraniu jest aż nadto widoczna. Zwłaszcza zaś u kobiet. Zginął przysłowiowy szyk francuski. Kobiety są ubrane nędznie, wszyscy przechodnie, których spotykałem, mają twarze wyblakłe i ziemistą cerę — nędzę widać nawet z pierwszego rzutu oka.

Jej pierwszym objawem są buty na drewnianych podszewkach — oszczędnościowe obuwie wojenne, wprowadzone przez Niemców. Nie są to jednak "sabots" francuskie. "Sabots" używają rolnicy i dzisiaj podczas pracy w polu.

Większość sklepików i sklepów jest zamknięta. W wielu z nich mieszczą się przeróżne kantyny angielskie i kanadyjskie /na tym odcinku, który zwiedzałem nie było oddziałów amerykańskich — przyp. autora/, w których ludność miejscowa również może się zapotrywać. Tak sądzę, bo widziałem przed okienkiem takiego sklepiku-kantyny kilka kobiet.

Kwestia zniszczeń jest na pewno bardzo względna. Na odcinku, który zwiedzałem, zniszczeń nie ma. Jednakże oficer angielski jeszcze na brzegu przedzał, że jedziemy

do najmniej zniszczonej części, oraz, że tuż obok niektóre osiedla zostały zrównane z ziemią. Rzecz prosta — w każdej wiosce i w każdym osiedlu widać ślady wojny. Ale ograniczają się one jedynie do gruzów po nielicznych domach, lub nawet tylko do podziurawionych dachów.

Mimo to wszędzie się wyczuwa, że życie nie wróciło jeszcze do normalnego trybu. Wprawdzie rolnicy uprawiają swoje pola, wprawdzie w miasteczkach kobiety noszą w koszykach jakieś sałaty i zawiąta, jednak za mało śmiechu i uśmiechu widziałem na twarzach Francuzów, abym nie wyznał, iż jeszcze nie wszystko wróciło do normy.

W jednym z większych miast sklep masarski świeci pustkami, chociaż jest przedpołudnie i chociaż w sklepie wisi mnóstwo smakowitych, wielkich kawałów mięsa. Czy ceny są za wysokie, czy też ludność zbyt wybiedzona — nie wiem. Wychodzi i tak na to samo.

Trójbarwne sztandary francuskie powiewają nad domostwami, dzieci kiwają przyjaźnie do nieustannie przejeżdżających ulicami samochodów wojskowych. Dzieci są czyste i schludne, ale i u nich zauważam obuwie na drewnianych podszewkach.

Ciekawe, że w czasie kilkogodzinnego objazdu Normandii nie widziałem odnowionych domów. A jestem pewien, że poodpadanych tynków nie można przypisać działaniom wojennym, bo w tych samych domach nie ma innych śladów któreby o tych działaniach świadczyły.

Widok brudniejszych, niż przed wojną ulic i domów, sprawia, że ogólne wrażenie można określić mianem zaniedbania. Potwierdza się to również i w obserwacji ubrań. Mężczyźni są mniej zaniedbani, kobiety — więcej.

Cechą zmienną jest w Normandii całkowity brak ruchu cywilnego. Na szosach nieustannie spotykałem samochody wojskowe, ciągnące niekończącymi się kolumnami. Porównując ruch na szosach normandzkich z ruchem, jaki widziałem we Francji w 1940-ym roku — twierdzą, że obecnie szosy są bardziej zapchane. Nie będzie nawet cienia przesady, jeżeli powiem, że właściwie nie sposób jest odróżnić jednej kolumny wojskowej od drugiej. Łączą się ze sobą, ciągnąc prawą stronę ku linii frontu, która jest blisko.

Otóż cywilnego ruchu nie ma prawie wcale. Przez cały czas nie spotkałem ani jednego samochodu prywatnego. Spotkałem zaledwie kilka wozów dwukółowych, ciągniętych przez konie. I spotkałem bardzo wiele ręcznych taczek, pchanych najczęściej przez dzieci. Zjawisk takich we Francji, którą znam całkiem dobrze, nie spotykałem przed wojną nigdy. Dowodzą one niewątpliwego, wielkiego zubożenia.

A jednak przy całym zubożeniu urok Francji jest nieśmiertelny. Nie umiem wytłumaczyć na czym polega. Może na słońcu, które jest inne, może na budownictwie i nie dbale kwitnących, pięknych różach. Może zresztą całkiem na czym innym — nie wiem. Wiem, że patrząc na pola, zranione świeżo wbitymi trzonami drzew, które miały według obliczeń niemieckich uniemożliwić lądowanie samolotów sprzymierzonych, czuję się w innym świecie, niż ten — jakże kulturalny świat — w którym przebywam od lat czterech.

Wiem, że las francuski, których kilka spotykamy po drodze — pachnie lasem, a wieś — świeżo skoszonym sianem, a nie nudą. I wiem, że maki, czerwoną plamą rozsiadłe w owsach, są mi bliskie.

I tam — w Normandii — z wolna zaczynam rozumieć, dlaczego na okręcie proszono mnie o kwiaty z francuskiej ziemi. Zaczynam rozumieć, że na miłość nie ma lekarstwa — na miłość ślepa i trwała i mądra w najwyższej wyrozumiałości. Myślę, że dla nas Polaków prawie powszechna jest właśnie taka miłość Francji, niezależna od rozumu, ani od wzajemności.

W tym przekonaniu pochylam się, aby zerwać garść żółtych kaczerców tuż przy plaży normandzkiej. Zawędrują one na okręt, na O.R.P. "Błyskawica".

Z Polski Podziemnej

Walka w osłonie

Już od godziny przeszło trwa "gra" na punkcie w R. Małenki radioaparatu nadawczo-odbiorczy klekocze cicho na stoliku w głębi pokoju. Sygnały "Morse'a" niosą szyfrowany tekst depesz wojskowych, gdzieś do jakiejś pośredniej stacji Armii Polskiej w Algierze, Kairze czy Marokku. Technik schylony nad aparatem wie tyle, że żądana stacja zgłosiła się, że trzeba jak najszybciej "wyrzucić" cały materiał własny i przejść z kolei na odbiór, przyjąć informacje i rozkazy dla Armii Krajowej.

Pośpiech, pośpiech. Każdej chwili można się spodziewać "podjazdu" niemieckiego. Jak zawsze w tej służbie. Niemieckie stacje podsłuchowe i pomiarowe pracują bez wytchnienia. Łowią fale uruchomionej radiostacji, ustalają położenie i alarmują "podjazd" samochodowy. Nim nadejdą, nim instrumentami magnetycznymi zdołają odszukać stację w przybliżeniu — "gra" musi być skończona.

To, że "podjazd" zjawia się nębawem, jest pewne. Niemiecka służba radiowa i jej wywiad, tropią polskie stacje zaciekłe i niezmordowane. Te stacje — to uszy i usta Polski Podziemnej. Bez nich walczący Kraj byłby głuchoniemy zaiste.

Nadać... przyjąć... uskoczyć. Oto gra. Sekundy decydują. Na szczęście nie zawsze można liczyć. Stawką w tej "ciuciubabce" jest życie. I więcej, niż życie.

Klucz aparatu klekocze pośpiesznie. "Wyrzut" dobiega końca.

Za oknem pokoju — słoneczny ranek marcowy. Przy oknie trzech ludzi z bronią w ręku. Patrol O.S. Osłona. I co za patrol. To ci sami "morowcy", którzy niedawno zlikwidowali niemiecką stację pomiarową, ukrytą w fabryczce na Gocławku. Ta stacja, wyposażona w przeszło 30 najprecyzyjniejszych

aparatów, ciężko dawała się we znaki łączności Kraju z zagranicą. Opanowano ją, kładąc trupem specjalistów niemieckich. Prawdziwie w ostatniej chwili. Na trzy dni przed terminem przeniesienia jej na Poznańską /Cent. Telekomunikacyjną/. Dla Niemców była to strata niepowetowana. Berlińska fabryka aparatów pomiarowych leży w gruzach... "Wyrzut" skończony. Teraz — odbiór.

Ale wtem... z pustej ulicy nadlatuje warkot motorów. Zbliża się. Urywa. Tuż — tuż. — Podjazd?...

Huk piorunujący. Szyby dygocą, tynk sypie się na głowy i aparat. Podjazd... Czujka wybuchem granatu alarmuje radiostację i zatrzymuje nadbiegających Niemców. Cofa się z ulicy do domu. Wbiega na piętro. Łańcuch zielonych mundurów rozsypuje się wśród małych kamieniczek. Z okna szczytowej ściany widać obydwie ulice, od frontu i ofcyny. I tu i tu podsuwa się łańcuch obławy.

Zdrada?... Niemcy obstawiają dom, jakby polowali na upatrzonego. Tym razem byli szybsi. Jedną grupką podbiega pod okno. Wyrzucają granaty zza pasów.

— Precz z pokoju — wola dowódcy osłony.

Klucz aparatu rzuca ostatni sygnał w przestrzeń. Dramatyczny znak: "Jestem zagrożony, koniec rozmowy". Ktoś daleki, o setki i tysiące kilometrów drgająca ręką zanotował te słowa...

Technik zrywa się od aparatu. Jego zadanie skończone. Głos ma już tylko osłona.

Niemcy wtargnęli do domu. Łomczą podkute buty po schodach,

po korytarzu.

Dowódca osłony, ciągnąc technika za sobą, przebiega z pokoju do kuchni. Przypadają do ścian po obu stronach drzwi. Reszta osłony przyczajona w pokoju.

Potężny cios kutych butów wywala drzwi z zawiasów. Przez rozbite deski wsuwa się czerwona łapa. Strzał. I łapa zwiisa, trafiona kulą technika. Zamieszanie i wrzaski. Nie wejda.

Dowódca osłony podaje granat ręczny. Sam mierzy z pistoletu maszynowego. Granat leci na korytarz. Najpierw pośpieszny łomot ucieczki, a potem ogłuszający huk. Spóźniony. Niemcy, porwawszy rannego ze sobą, zdążyli zwiąć. Dowódca osłony i technik wypadają za nimi. Serią z pistoletu maszynowego spędzają ich ze schodów.

Wtem... Trzęsienie ziemi?... Potworne eksplozje zdają się rozrywać dom w strzępy. Huraganowy podmuch rzuca ludzi na ścianę. Sufit wali się w obłokach kurzawy wapiennej.

To Niemcy atakują granatami ręcznymi. Kilka pocisków gruchnie w okno. Wybuchy rozniosły w drzazgi wszystkie sprzęty. Ściany popękane. Wszystko tonie w dymie i kurzawie. Trzech ludzi leży na podłodze. Osłona. Zginęli?...

Nie. Wszyscy nietknięci. Rozrzut wybuchów nie dosięgnął leżących. Zerwali się. Jeden rzuca się do wywalonego okna i cisnąc granat w kupę Niemców. Nic już — ogłuszeni eksplozjami — nie słyszą. Granat pęka jakby bezgłośnie, snopem ognia i dymu rozszarpując jednego SS-Manna. Reszta zmyka z dziedzińca na ulicę. Gę-

sty ogień karabinowy masakruje ściany zewnętrzne. Znosi się na odciepie odwrotu.

Przebojem. Patrol opuszcza zrujnowany pokój. Strzaskanego radioaparatu nie sposób odnaleźć w rumowisku gratów. Stacja skończyła służbę.

Technik i dowódca wymietli Niemców z frontowej strony dziedzińca. Pod osłoną drewnianej szopy biją w głąb ulicy, szukając kuli zielonych mundurów. Pod parkanem leży już jeden poległy. Ale i Niemcy mocno naciskają. Kule praskają o kamienie. Tępo, jak przez grubą watę słychać wybuchy granatów. Zbliżany odłamek dosięga jednego z ludzi osłony. Rana biodra.

Przebojem. Obydwe ulice, biegnące równolegle obstawione obławą. Jedyna droga — dziedzińcami i ogródkami pod dwustronnym ostrzałem. Ale nie ma wyboru. Dwu ludzi osłania technika. Z pistoletami w dłoni biegną, odstrzeliwując się na boki.

Dowódca został. Walczy o życie rannego kolegi. Jest to walka beznadziejna. Ranny nie robi ani kroku. Zginą więc razem, broniąc się do ostatniego naboju, kładąc trupem dwu jeszcze Niemców.

Skok za skokiem, wśród płotów, sznurów z bielizną, młodych drzewek reszta patrolu wyrabuje drogę swojemu "grajkowi". Z najmniejszą krwią prą naprzód. Cichnie za nimi zgiełk śmiertelnej, ostatniej walki ich dowódcy.

Wtem, gdy mają przed sobą już tylko przecznice i kompleks koszar niemieckich, zza malej budki wyskakuje prosto na nich jakiś SS-Mann z karabinem. Rozdygotany

smarkacz. Bekocze coś. Pistolet osłony jest szybszy. Dwa... kłapienia. Broń nie wypala obu przeciwnikom. I Niemiec rzuca się do ucieczki. Luka. Rzuca się w nią żołnierz z osłony. Sam. Tamci skręcili między budynki. Ten jest uratowany.

"Grajek" zasłonięty rozwieszonymi pierzynami wbiega do szopy. Jego pistolet jest pusty. Oba magazyny wystrzelone. Kryje się na stryszku. Widzi stamtąd drugiego towarzysza idącego w ślady pierwszego, który się przedarł. Sam już nie zdąży. Może tylko czekać. Na śmierć.

Dopiero teraz czuje, że jest ranny, że noga krwawi obficie. Ale oto Niemcy nadchodzą. Przetrzęsają domy, wypytują mieszkańców. Nie, nikt uchodzących nie widział /nie chciał widzieć/. Słychać rozmowę w sieni o parę sążni od kryjówki rannego. Niemcy mogą szukać na stryszku. Czy boją się, czy nie chcą zbyt wiele ryzykować, czy wierzą zeznaniom gospodyni — oddalają się. Szukają dalej. Wracają. Odchodzą wreszcie.

Ten moment trzeba wykorzystać. Ranny schodzi. Jest cisza zupełna. Półtorej godziny upłynęło /nie do wiary/ od początku walki. Patrol osłony stracił dwu dzielnych ludzi; Niemcy czterech zabitych, dwu rannych, dwu dogorywa.

Przebrany w czapkę mundurową przez kogoś odważnego podaną, ranny technik przemyka się pustymi ulicami za plecami obławy. Czekają go jeszcze 6 km. bolesnej drogi.

O tej chwili szereg innych radiostacji Armii Krajowej śle zwykły serwis zagranicę. Niebawem podadzą może krótki raport o walce w R., 5.III.44 r. Szyfrem zasalutują pamięć poległych z patrolu osłony.

ŻOŁNIERZ ARMII KRAJOWEJ

Polska Podziemna mówi

W drugim roku wojny Niemcy zainstalowali w Warszawie w najbardziej ruchliwych punktach miasta 17 potężnych megafonów ulicznych. Cztery razy w ciągu dnia nadawane są przez te megafony — popularnie zwane w Warszawie "szczekaczkami" — audycje propagandowe po polsku. Dzień w dzień usiłują Niemcy, bez najmniejszego skutku, przekonać ludność stolicy, że Anglicy i Amerykanie zaprzęśli Polskę i że Polakom nie pozostaje nic innego, jak włożyć potulnie głowę w niemieckie jarzmo.

Warszawiacy chętnie się gromadzą koło megafonów w momentach, gdy niezwykłe armie niemieckie dostają w skórę na froncie. Przyjemnie jest słuchać o "elastycznej obronie", "zwycięskich operacjach w tył" lub o "pomyślniej ewakuacji" jakiegoś ważnego miasta, "bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela". Zwłaszcza, gdy się doskonale wie z prasy podziemnej i z odbijanych na powielaczach komunikatów radia brytyjskiego, jak naprawdę wyglądają te "sukcesy obronne". W momentach natomiast, gdy karta odwraca się chwilowo na niekorzyść Sprzymierzonych — frekwencja pod "szczekaczkami" znacznie się zmniejsza.

Każdą audycję poprzedzają hałaśliwe niemieckie marsze wojskowe. Następnie dla przynęty nadawany jest hejnał z Wieży Mariackiej w Krakowie. Często bardzo przez megafony czytane są zarządzenia szefa Policji, w których mowa jest o kontrubucjach, ewakuacjach, wysiedleniach. Nazwiska ofiar rozstrzelań publicznych odczytywane są nieraz poprzedniego dnia z obietnicą "ułaskawienia" o ile ich rodziny wskażą władzom niemieckim członków ruchu podziemnego.

Zdarza się również, że "szczekaczki" milkną na dzień lub dwa, jak mówią Niemcy później z "przynęty technicznych". Przyczyny techniczne są bardzo różne. Na przykład na jedno z największych targowisk warszawskich przyszło w biały dzień kilku monterów z narzędziami, dwóch z nich zaczęło się wdopywać na słup, na którym umocowany był głośnik, pomajstrowali kilka minut i po dokonaniu "reparacji" schowali narzędzia i odeszli. O zwykłej porze, kiedy odbywa się audycja — "szczekaczka"

milczała. Następnego dnia publika na placu zaczęła się dziwić: — "Goebbels ozór zwichnąć, czy co?" — pytano się wzajemnie. A dopiero trzeciego dnia okazało się, że kabel "szczekaczki" jest przecięty a w megafonie brakuje membrany.

Przewidując sabotaż na większą skalę Niemcy zainstalowali w Pałacu Brühla specjalną lampkę alarmową, palącą się dzień i noc. W wypadku włączenia się na kabel łączący "szczekaczki" ze studiom, lampka gasła, równocześnie zaś rozlegał się dzwonek alarmowy.

W letnie upalne południe przechodziłem przez plac Trzech Krzyży, gdy z pobliskiego megafonu zamiast zwykłych melodii niemieckich rozległy się dźwięki marsza generałkiego. — Co u diabła — pomyślałem — czy marsz generałki także Szwaby skomponowały? I mimo woli zatrzymałem się, gdyż przed oczyma stanęło mi wspomnienie rewii z 3-go maja na Placu Marszałka. Nagle rozległy się słowa:

"TU MÓWI POLSKA
PODZIEMNA"

Wrażenie było wstrząsające. Ze wszystkich stron placu, z przyległych ulic i domów zaczęli biec ludzie. Wskakiwano w biegu z przejeżdżających tramwajów. W mgnieniu oka koło megafonu powstał ogromny tłum. We wszystkich oczach utkwionych w głośnik, malowało się nieopisane podniecenie. A z głośnika rozległy się zdania krótkie i mocne, zachęcające do wytrwania i walki, krzepiące a równocześnie przestrzegające przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają jeszcze na Polskę i Polaków. Audycję zakończyło zawołanie:

"POLSKA ŻYJE", "POLSKA WALCZY", "POLSKA ZWYCIĘŻY"

I poprzez okupowaną przez Niemców Warszawę — w czwartym roku niewoli popłynęły dźwięki "Jeszcze Polska Nie Zginęła".

W tej samej chwili zaalarmowane lampką w Pałacu Brühla mknęły przez miasto w szalonym pędzie samochody wypełnione po brzegi zbirami "Gestapo". Lecz pod "szczekaczkami" nie było już nikogo. Słuchacze rozbiegli się, unosząc w sercach dziwne, nie dające się opisać wzruszenie.

JAN NOWAK

Z "PIEŚNI ZBROJNYCH"

NAPRZÓD DO BOJU
ŻOŁNIERZE!

*Naprzód do boju, żołnierze,
Polski Podziemnej. Za broń!
Boska potęga nas strzeże
Wola do boju was dzwoni.*

*Godzina pomsty wybija
Za zbrodnię, mękę i krew,
Do bronii! Jezus Maryjo!
Żołnierski wola nas zew.*

*Zorza wolności się pali
Nad Polską idących lat.
Moc nasza przemoc powoli
Nowy dzień rodzi się świat.*

Godzina pomsty wybija, i t.d.

*Za naszą Wolność i Waszą
Braci, chwytamy za miecz
Smierć, ani trud nas nie straszą,
Zwycięski Orle nasz lec.*

Godzina pomsty wybija, i t.d.

A ZA TWOJE BRACIE
TRUDY...

*A za twoje bracie trudy,
A za twoja bracie krew,
Wyrwie gestapowiec butem
Krzyk ci z rozmiądzonych trzew.*

*A za twój wolności raport
Obwieszczany iskrą w noc,
Hej, poczujesz rękę "kapo"
Jego kija twardą moc.*

*A za granat twój w uliczny
Podrzucony ślepy dół,
Hej, zatańczysz z szubienicy
Kruk ci będzie oczy klut.*

PIOSENKA

*Hej! wesół wicher świszczy
Kół szubienicy.
Śmieć się i zacieraj ręce
Niemce na ulicy.*

*Wczoraj na tej szubienicy
Polak zuch zawisnął,
Zanim skołał, słowem "Polska!"
W twarz ci Niemce cisnął.*

*Jutro na tej szubienicy
Pewno ty zawisniesz,
Postuchamy jak się swoim
"Heil Hitler" zachytniesz.*

/Powyższe utwory pochodzą z zbioru "Pieśni Zbrojne", wydanego w Warszawie w kwietniu 1943 r., z przeznaczeniem dla żołnierzy Armii Krajowej./

W magicznym kręgu

Awansując ze stanowiska oficera wydziału politycznego "Gestapo" na lukratywną synekurę dyrektora Komis. Zarządu Nieruchomości w Warszawie, Gustaw Fleming nie przestał być urodzoną kanalią policyjną, w dodatku — typu tajniaka.

Tań się wszelkimi sposobami. Biuro obwarował, obsadził wartami, stworzył całą metodykę inwigilacji, kontroli i ubezpieczenia wewnętrznego. Pamiętając los swego dawnego szefa z "Gestapo", Lechnera, zabitego w Alei Szucha w Warszawie — i już dwa zamachy na siebie, nigdy nie chodził pieszo, zawsze wjeżdżał samochodem w strzeżoną bramę gmachu biurowego, od strony Długiej, zazwyczaj zamkniętą na głucho.

Właściwe wejście do biur prowadzi od strony Podwala. Tędy właśnie, wśród licznych interesantów weszło 20 stycznia br. w południe pięciu klientów, na pozór nie wiedzących o sobie nawzajem.

Dwaj skręcili w korytarz wiodący do gabinetu dyrektora Fleminga. Właśnie do niego mieli osobisty interes. O tyle pilny, że nie chcieli czekać, aż zastępca szefa, wicedyrektor Oldenburg opuści gabinet dyrektora. Starzy znajomi przecież... /Tak, sześć miesięcy chodzili za nim i to diablo natarczywie czasem/.

Sekretarka, oddana i szczwana współpracowniczka szefa, zawahała się wobec stanowczości interesantów. Ale zwąchała widać coś podejrzane. Zapukała do drzwi, zajrzała, rzuciła dwa słowa...

W tej chwili, odgarnięta na bok potężnym ramieniem, ujrzała nad sobą zniżającą się łufę pistoletu. Szarpnęła się raz jeszcze, ale już buchnęły cztery wystrzały.

Fleming wiedział. Zerwał się od biurka z pistoletem w dłoni. Nim podniósł broń — świnięły kule od drzwi. Niemiec schylił się kureczko i runął na podłogę. Jego zastępca i szef personalny, Oldenburg, stał znieruchomiał, patrząc jak stalowa broń zwraca się w jego stronę. I znów cztery trzaski i znów rumor padającego ciała.

Strzelec L. przebiegł od drzwi przez ogromny gabinet do biurka, za którym leżał Fleming. Niepewny pierwszych strzałów jeszcze trzy razy nacisnął spust, mierząc w brzuch Niemca.

Echo jedenastu wystrzałów hu-

roznych pokoju, zerwało całe biuro na nogi. Kto żyw rzucił się do drzwi. Z jednego gabinetu wypadło dwu oficerów SS z bronią w ręku.

Ale już od pierwszego grzotmu — w hallu błysnęła groźna lufa "rozpylacza" i wszystkie ręce skoczyły w górę. Pistolety oficerów niemieckich stuknęły głucho o podłogę korytarza. Wylot pistoletu maszynowego zdawał się patrzeć we wszystkie oczy.

Blisko 50 osób, urzędników i interesantów, stłoczonych posłusznie pod ścianami, wzдрыgało się jednym dreszczem przy każdym huku z gabinetu Fleminga. Drugie tyle tkwiło bezradnie pod pistoletami w hallu pierwszego piętra, a na parterze — w otwartych drzwiach wejściowych stał nowy przybysz z ulicy z granatem ręcznym, grożąc przerażonemu tłumowi.

Na schodach jakiś oficer niemiecki, schodzący z cywilnym towarzystwem natknął się również na wymowną broń i stanął grzeźnie, kręcąc głową z bładym uśmiechem.

Po strzałach nastąpiła śmiertelna cisza. Spokojny, zimny głos radził z nad lufy nie ruszać się. I przeszło 100 osób jakby zaczarowanych tkwiło w martwym kręgu lęku.

Potem dwu ludzi z pistoletami w garści przeszło w tłum szpalery wybladłych widzów i znikło. Pistolet maszynowy zataczył jeszcze jedno magiczne koło i cofnął się po schodach groźnymi lśnieniami.

Czas trwał. I na pierwszym piętrze. I na parterze prysnął, gdy jakiś narwany gość pchający się pod łufę, dostał kopniaka tak potężnego, że przeleciał przez hall i głową wywalił drzwi od gabinetu.

I za sześciu zbrojnymi zamknęły się drzwi. Byli w tym gmachu osiem minut. Od pierwszego strzału minęły trzy minuty. Na ulicy nikogo. Nawet warty znikły.

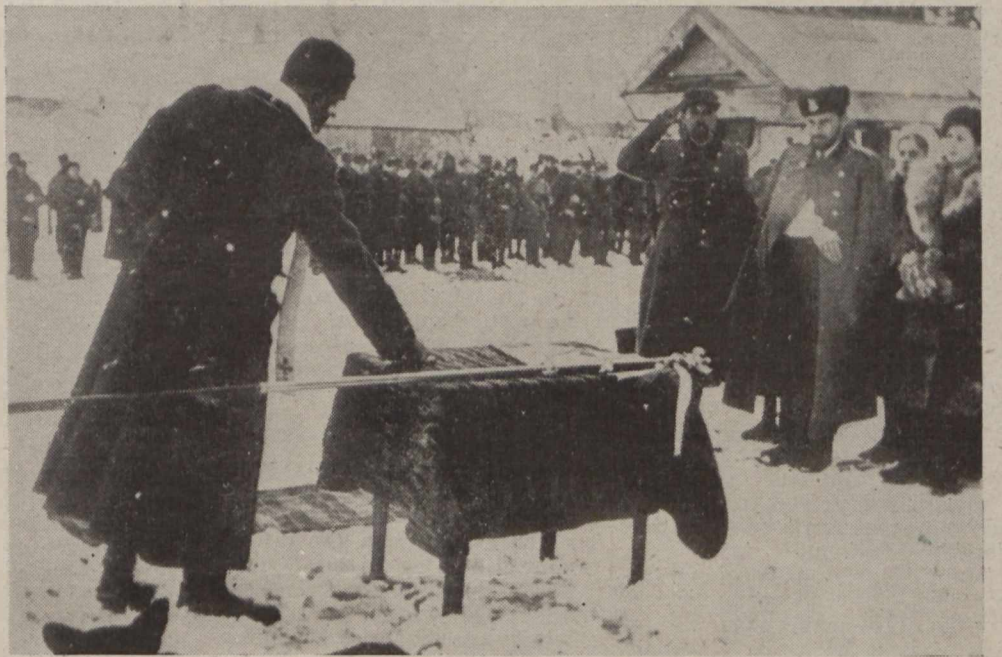
Nie to było dziwne. Dziwny był traf, że Fleming... żył. Pierwsze cztery strzały padły w czasie szamotaniasz się z sekretarką. Żaden nie trafił. Fleming zwał się umyślnie, żeby się ratować. Oldenburg zginął na miejscu. Ostatnie trzy strzały ciężko zraniły Fleminga, ale nie śmiertelnie. Urodzony tajniak — raz się jeszcze przycał. Ostatni raz chyba.

ŚWIADEK

Armia Krajowa żyje, szkoli się, walczy



Msza polowa w pobliżu Nowogródka



Poświęcenie sztandaru 23 pułku "Wotyń"



Działanie piechoty pod Nowogródkiem



Stawisko ckm. — żołnierze w polskich hełmach



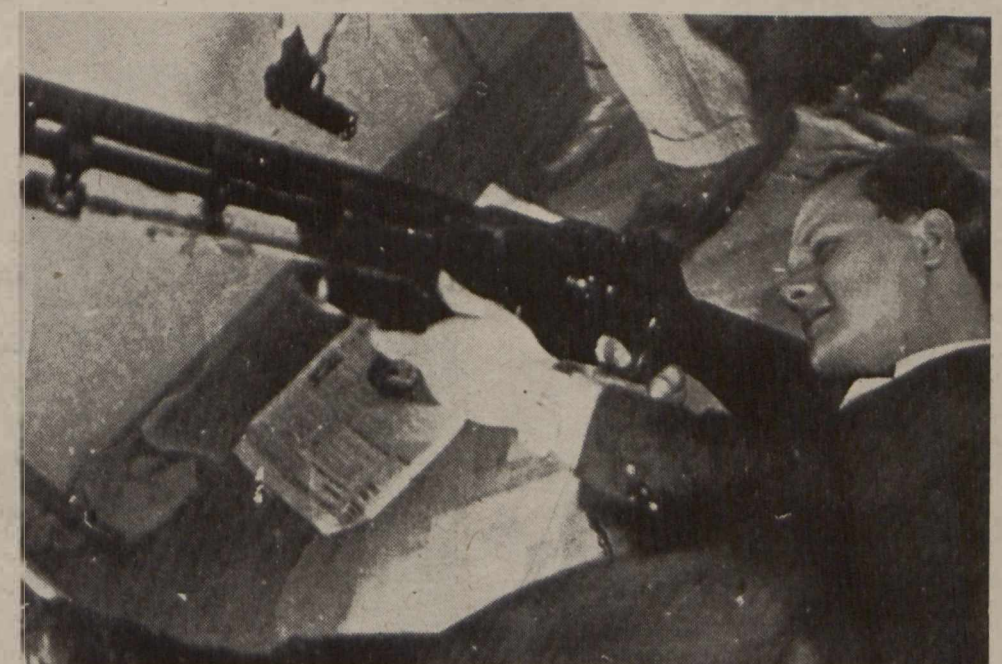
Przygotowanie posiłku w kuchni obozowej



Zabieg chirurgiczny pod gołym niebem



Składanie i rozbieranie broni z zawiązanymi oczami



Próba karabinu maszynowego systemu Browning nr. 38

Tam, gdzie "rodzą się" marynarze

Trzydzieści kilka murowanych, schludnych baraczków, symetrycznie ustawionych wzdłuż asfaltowanej drogi, nakrytych dachami z falistej blachy, z jednakowymi zielonymi "black-out'ami" w oknach. Każdy barak ma oświetlenie elektryczne, swoją umywalnię z bieżącą wodą, swój składzik na węgiel i betonowy śmietnik. Do każdego baraku prowadzi porządnie żużlem wysypana ścieżka. Na placu przed barakami — maszt z gablem, na którym powiewa białoczerwona bandera. Obóz Szkolny Marynarki Wojennej.

Jest godzina 11,30 i właśnie od strony bramy wjazdowej maszeruje powracająca z ćwiczeń Kompania Szkolna. Marynarze w granatowych "kombinezach", w pasach, z karabinami przycięgniętymi do ładowania, maszerują równym żołnierskim krokiem.

"Odtrąbiono!" — karabiny zniżają się, jak za pociągnięciem sznurka. "Kompania śpiewa!" — pada dalsza komenda. I zaraz z pierwszych szeregów podrywa się ulubiona piosenka:

*Morowa marynarska wiara,
Szczęsny jej życia los —
Nie to, co z ładu armia szara,
Która ma pustą trzos . . .*

I zaraz dalsze szeregi podchwytyją refren:

*Marynarz w noc się bawi,
W hamaku we dnie śpi,
Czy to na Bałtyku,
Czy na Atlantyku,
Ze złego losu drwi . . .*

Stara, poczciwa piosenka, która przywędrowała tu z nami z Polski. Śpiewały ją różne "kompanie szkolne" jeszcze w Świeciu, kiedy tam mieściła się Kadra Marynarki, śpiewały i późniejsze rekruckie pokolenia w Gdyni. Śpiewała ta "marynarska wiara", śpiewała i . . . "ganiąta", /pod tamto drzewo — biegiem marsz! Na to i tamto — padnij! Na to i owo — siad!/, gdy pan szef i "szczęsny jej życia los" tak kazał . . . Śpiewa więc i dzisiaj "somewhere in England".

A ułożył tę piosenkę na pewno jakiś rekrut-ochotnik, zanim został po raz pierwszy zaokrętowany. Bo inaczej nie wyrębałby się w tym spaniem we dnie — wiedziałby czym to pachnie na okręcie, taki niezwiniony hamak po pobudce . . . Zaś zółd nasz wcale nie jest większy, niż w armii, która — według słów piosenki — ma "pustą trzos" . . .

Ale w piosence, jak to w piosence — wszystko jest ładne, miłe i beztrzoskie. I pewnie dlatego ta piosenka jest lubiana, że tak bardzo do rzeczywistości, do prawdziwego marynarskiego życia — niepodobna.

Utarło się powiedzenie "urodzony marynarz". Ludziom, żyjącym normalnym "ładowym" trybem życia, rzuca się w oczy kilka pozornych i czysto zewnętrznych cech człowieka pracującego na morzu. Ta jego odmiennosc, odrębność sposobu reagowania na zjawiska życia ładowego, wywołała wrażenie, że marynarzem może być tylko jakiś specjalnie urobiony typ człowieka — jednym słowem, że marynarz musi się już "urodzić" marynarzem . . .

Oczywiście tak nie jest. Na statki handlowe, na okręty wojenne, do szkół morskich zgłaszają się ludzie zupełnie różni wiekiem, uśposobieniem, inteligencją czy też pochodzeniem. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że żaden inny zawód nie gromadzi tak różnych elementów w swoich szeregach, jak właśnie marynarka.

Na to zbiorowisko ludzi, poświęcających się pracy na morzu, oddziaływują stopniowo specyficzne, odmienne warunki życia na okręcie. Morze jest pedagogiem, który urabia charaktery, zaciera różnice, rozwija pewne cechy i nawyki. Jest to szkoła twarda i surowa, a przechodzi się ją bynajmniej nie gładko i wygodnie, lecz drogą kolejnych *przetamań* i *wyrzeczeń*, o których ludzie nie obcy z morzem nie mają żadnego wyobrażenia.

Obecnie, w okresie wojennego pośpiechu i zwiększonego zapotrzebowania na marynarzy, wcielanie i szkolenie, czyli ów proces "rodzenia się" marynarza, został znacznie przyspieszony, zracjonalizowany i dostosowany do potrzeb wojennych. Tym niemniej, nawet w tym skróconym procesie, zasad-

nicze elementy kariery marynarza: wyrzeczenie się, rezygnacja z wielu przywilejów i wygod życia lądowego — zostały nadal niezmiennie.

W jadalni marynarskiej, mieszczącej się w specjalnym, większym od innych budynku — rojno i gwarno, jak w ulu. Poprzez brzęk naczyń i talerzy przy rozdzielaniu posiłku dolatują nas urywki rozmów, prowadzonych nie tylko w polskim języku. Tu dwóch marynarzy sprzecza się o coś po francusku, tam ktoś klnie socyście po hiszpańsku czy po portugalsku /ot, tak sobie, aby nie wyjść z wprawy/, ktoś inny wtrąca co kilka zdań jakieś wyrażenia rosyjskie lub stosuje niemieckie przysłowie. A już angielskiego używa każdy w miarę, jak go sobie przyswaja. Istna wieża Babel.

Bo też zebrali się tu Polacy niemal z całego świata. Są tu polscy ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, z Brazylii i z Argentyny. Są ci, co tu do nas z Rosji przez Persję i dokoła Afryki jechali, i ci, co to Rommłowi uciekli, żeby teraz na naszych okrętach bić się przeciw niemu. Są tacy co zaledwie rok temu Warszawę i Gdynię widzieli . . . i ci, co długo musieli wyczekać w Mirandzie, zanim się ich statmąd wyciągnąć udało. Mój Boże, cóż to za naród globtrotterów i poliglotów /to znaczy: znawców wielu języków/ będzie z nas kiedyś, gdy z tej włóczgi do kraju powrócimy . . .

Już po kilku zdaniach można się zorientować, który z marynarzy jaką drogą przedostał się do Anglii. Są i tacy, którzy zapomnieli polskiego języka na emigracji i teraz uczą się go od kolegów. Ta zbieranina z całego świata, ten wielojęzyczny "melange" zrasta się i żywa w obozie z dniem każdym. Już po paru tygodniach co raz mniej słyszy się obcych języków przy posiłkach w marynarskiej jadalni. Natomiast co raz więcej polskich, zwłaszcza tych specyficznie wojskowych zwrotów i marynarskich "powiedzonek" przyswaja sobie wiara na codzienny użytek . . .

Przy moim stole siedzi marynarz, noszący czysto polskie nazwisko na "wski". Jego rodzina osiadła w Anglii jeszcze przed poprzednią wojną. Johnny urodził się w Londynie i wychował na 100% -ego "cockney'a". Kiedy zaczęła się obecna wojna Johnny poszedł do "Navy". Wkrótce po tym "destroyer", na którym odbywał służbę, ochraniał konwój na Śródziemnym. Towarzyszył mu polski torpedowiec. Johnny z pewnym niedowierzaniem spoglądał początkowo na białoczerwoną banderę: "Jakto, to oni mają nawet okręty i pływają po morzach?" . . .

Było to w czasach, gdy przewaga floty Sprzymierzonych na Morzu Śródziemnym bynajmniej nie była ustalona. Zaraz za Gibraltarem zaczęły się systematyczne naloty, a ataki okrętów podwodnych na konwój powtarzały się bez przerwy. Obydwa torpedowce uwiły się, jak w ukropie. Wtedy to Johnny przekonał się, że "the Polish people" w niczym nie ustępują na morzu Anglikom i zaczął patrzeć na swoich kolegów z pełnym uznaniem.

Ale koło Malty zaczęło się robić naprawdę "gorąco". Z portów

włoskich wyszły im na spotkanie trzy torpedowce i dwa lekkie krążowniki. Dowodzenie konwojem przypadło właśnie dowódcy polskiej jednostki, kiedy na horyzoncie pokazały się przeważające siły nieprzyjaciela. Rozpoczął się pojedynk artyleryjski. Kiedy włoskie okręty zbliżyły się do konwoju, torpedowce rozpostarły zasłonę dymową i z poza niej ruszyły do ataku torpedowego. Włosi widząc zdecydowaną postawę obrony, zawrócili z drogi i, mimo swej przewagi, zwiłali do portu. Konwój doszedł do Malty bez strat.

Wypadek ten zadecydował o przyszłości Johnny'ego. Obudziła się w nim i zagrała polska krew. Zapragnął wrócić do swoich, znaleźć się na pokładzie polskiego okrętu, zostać polskim marynarzem. Rozpoczął starania. W ich wyniku został przeniesiony do Polskiej Marynarki Wojennej i znalazł się w naszym obozie.

Początkowo trudno się było z nim dogadać. Johnny znał zaledwie kilka słów polskich i pomagał sobie angielskim. Ponieważ jednak mówił *cockneyskim* akcentem i stosował mnóstwo "expression" i "slang'ów" używanych w "Royal Navy" — trudno go było zrozumieć. Ale Johnny nie zrażał się tym i wzięł się ostro do nauki. Dziś używa już zupełnie niezłe "Polish expressions":

— Jak się bawileś, Johnny? — pytam go raz w drodze powrotnej z miasta do obozu.

Johnny unosi w górę kciuki obu dłoni i rozkłada ręce:

— Tak szeroko, za trzy peny . . .

— A jak tam twoja dziewczyna, czy chociaż ładną jaką sobie wybrałaś?

— Bardzo ładna . . . — Johnny szuka przez chwilę w pamięci jakiegoś wyrażenia, które zasłyszał kiedyś od kolegów. — Ona ma jedno oko wiechem zatkane, a z drugiego jej miłość kapie . . .

Pojedynczo i grupami napływają do obozu nowo-zacieczni. Przychożą, bądź w cywilnych ubraniach, bądź w mundurach wojska, z którego zostali przydzieleni do marynarki. W tym drugim wypadku nierazko na naramiennikach "battle-dress'ów" polyskują naszywki starszych strzelców i kaprali. Zdarzają się też plutonowi, sierżanci, a nawet podchorążowie . . .

Nowo-przybyli zgłaszają się do magazynu mundurowego, gdzie otrzymują nowiutkie granatowe mundury marynarskie i pękaty brezentowy worek marynarskiego dobytku. "Battle-dress'y", posypane naftaliną, wędrują do składu, a wraz z nimi znikają bezpowrotnie naszywki podoficerskie. Jaka-by nie była ich szarża w wojsku, z chwilą, gdy włożyli na siebie granatowy mundur — stają się tylko marynarzami. I to jest pierwsze wyrzeczenie się, pierwsza ofiara na rzecz błękitnego.

Zaczynają się "trudy i znoje" szkolenia: owe odwieczne rekruckie "salutowanie w miejscu", chwyty bronią, zbiórki i apele, dla starego żołnierza, nierazko ekspodoficera, czy "fajtra" — uprzykrzone i nudne. Jednak podobno potrzebne i pozytywne. — "Wojsko jest jak masło — tłomaczył kiedyś nasz instruktor — jak go dobrze nie ubić, to zjełczeje i skisnie" . . .

Po sześciu tygodniach kurs re-

krucki jest skończony i kompania szkolna składa przysięgę pod banderą wobec kapelana. Po przysiędze odbywa się tradycyjny "pogrzeb rekruta": kukłę ubraną w marynarskie drelichy obnosi się na marach po całym obozie. Przem kroczy marynarz niosący na poduszce "ordery" za 6-miesięczne "ganie", oraz utensylia rekruckie: szczoteczkę do zębów, pakuły do czyszczenia karabinu, gwoździe do butów i t.p. Z tyłu za marami postępuje żalobny kondukt "zmarłych krewnych". Przebieg uroczystości pogrzebowych zależy od pomysłowości i humoru organizatorów: są zazwyczaj "mowy pogrzebowe" i "odczytanie testamentu", jest warta honorowa i salwy nad grobem. W końcu nieszczęsnego "rekruta" pali się na stosie lub topi w basenie z wodą. Odtąd kończą się dla marynarzy udreki rekruckie, rozpoczyna się natomiast, wcale nie łatwe, nabywanie wiedzy okrętowej i szkolenie specjalistów.

Podzieleni na oddzielne grupy, marynarze rozchodzą się teraz na kursy maszynistów, sygnalistów, radiotelegrafistów, elektrykarzy i innych specjalistów okrętowych. Pełnienie służby na okręcie wojennym, obsługiwanie skomplikowanych mechanizmów i obchodzenie się z nowoczesną bronią nie jest wcale proste i łatwe. To też marynarz — nawet ten t.zw. "prosty" /czyli nie mający jeszcze żadnej rangi/ marynarz — musi pojąć i przyswoić sobie gruntownie nieraz bardzo rozległy dział wiedzy teoretycznej potrzebnej w obranej specjalności, musi poznać na wylot swoją broń i nabrać wprawy w posługiwaniu się nią na okręcie.

Nareszcie, kiedy ukończył kurs specjalności, opuszcza "camp", by odejść na okręt. Przed odejściem otrzymuje swój marynarski hamak, który bynajmniej nie służy mu za przyrząd do odbywania błogich siest we dnie i w nocy — jak chciała piosenka. Oczywiście jest to rzecz gustu, lecz zapewniam Was wszystkich, którzy nie sypiacie w hamakach, że w łóżku /zwłaszcza ze sprężynami i materacem/, stojącym wszystkim czterema nogami na nieruchomej i nie wędrującej nigdzie podłodze — sen jest daleko miłszy i spokojniejszy. Hamak jest raczej symbolem tych niewygód i prymitywu życia, na które skazuje życie na okręcie.

Marynarz już od dawna przestał być ową zdyscyplinowaną lecz bezmyślną siłą roboczą. Wymaga się dziś od niego wielu umiejętności, rozległej wiedzy fachowej i inteligencji. To też pewne konieczne ograniczenia i niewygody życia okrętowego, którym siłą faktu musi się podporządkować, nie wynikają bynajmniej z jakiegoś ograniczenia potrzeb czy prymitywizmu właściwego marynarzom. Marynarz jest człowiekiem inteligentnym z racji swego zawodu i ma takie same potrzeby i upodobania, jak i inni "ludzie lądowi". A jeżeli zaspokojenie tych potrzeb bywa z racji wojny i warunków życia okrętowego ograniczone, to jest to tylko jeszcze jedno z łańcucha dobrowolnych ofiar, jakie marynarz dla swego fachu ponosi.

"Na spacer jedzie do New Yorku, by zwiedzić ziemi szmat" . . . — mówi następna strofka rekruckiej piosenki. Obecnie nasze okręty zachodzą czasem i do New Yorku. Z konwojem. Nie bardzo

— "na spacer". Atlantyk przestał być wygodnym miejscem spacerowym dla okrętów . . . Ale właśnie dlatego i właśnie tam dopiero, na pokładzie O.R.P., marynarz staje się naprawdę marynarzem.

Kiedy po raz pierwszy rykną na alarm syreny, gdy pokład zadudni tupotem biegnącej załogi, gdy w powietrzu zaświszcza bomba, zagrzmią działa okrętowe lub gładką powierzchnię morza rozpruje ślad biegnącej do celu torpedy, wtedy u dział, w maszynach, przy aparatach i przyrządach rodzi się — "prawdziwy marynarz". Rodzi się na pokładzie swego okrętu. Czasem na tym samym pokładzie przychodzi mu umierać . . . I to jest jego ostateczna, najwyższa, z zawodem związana ofiara . . .

Co raz to nowi, co raz inni ludzie zgłaszają się do Obozu. Przychożą i odchodzą. Nie ma już w Obozie wesołego Lolka — komika i kpiarza; nie ma Jurka, który tak ładnie tańczył i takie miał u dziewcząt powodzenie; odszedł Kazik, którego prawdziwych i nieprawdziwych opowiadań słuchaliśmy wieczorami; odeszło wielu innych kolegów. Czasem spotykamy się znowu, czasem rozstajemy się na zawsze . . . Bo takie jest życie, i taki jest los marynarza.

Jeżeli więc nie dla pieniędzy, nie dla wygod i przyjemności tu przychożą, jeżeli tyle jest trudności, ofiar i ograniczeń w tym zawodzie /czy może, jeżeli chcecie: w tej części Siły Zbrojnej/ — dlaczego więc idą tu tak chętnie, dlaczego z całego świata, poprzez granice, morza i góry, ciągną do naszego obozu nieprzerwanym strumieniem?

Leży przede mną postrzępiony zeszyt szkolny, zwykły szkolny zeszyt zapełniony dużym czytelnym pismem — zeszyt Stacha. Niech on da odpowiedź na to pytanie:

Stach pięknie grał na gitarze. Grał i śpiewał. Miał miły, melodyjny głos. Lubiliśmy go słuchać. Ale Stach miał też pewną tajemnicę, którą znało tylko paru najbliższych jego kolegów. Pisał wiersze. Właściwie nie wiersze, a piosenki. Układał słowa i dobierał do nich melodie. Słowa przychodziły z łatwością, melodie — trudniej. Były zawsze zbyt podobne do innych, znanych, nie własnych. — "To wszystko kradzione" — mówił. Marzył, że kiedyś znajdzie jakiegoś muzyka, który mu ułoży melodie do jego piosenek. Marzył, że wróciwszy do kraju, zaśpiewa je kiedyś — może przed mikrofonem, może na całą Polskę, może go usłyszą w jego rodzinnym mieście, we Lwowie, i w ten sposób dowiedzą się, że jest, że żyje, że wrócił . . .

Stach odszedł na okręt razem z innymi. Przed odejściem powierzył mi na przechowanie swój skarb — zeszyt z piosenkami. Wkrótce po zatonięciu O.R.P. "Orkan", nazwisko jego znaleźliśmy na liście poległych . . . Stach nie wrócił już do Gdyni, w której mieszkał, w której pracował, która rosła w jego oczach. Nie usłyszą jego głosu w rodzinnym Lwowie, ale może znajdzie się ktoś, kto dorobi melodie do jego piosenek, może kiedyś . . . po wojnie. Piosenka ta dopłynie do Gdyni, może ją ktoś zaśpiewa we Lwowie. Może . . .

Oto jedna z nich: "Tango marynarzy", która tłomaczy dlaczego i poci przyszli, w co wierzą, o co walczą:

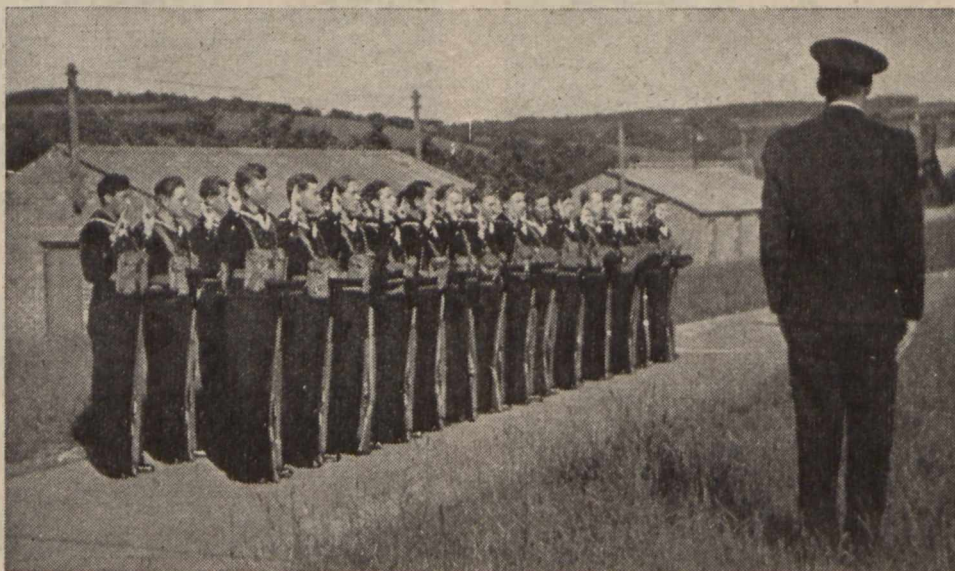
*Na niebie lśnią — miliony gwiazd,
na brzegach śpią — miliony miast,
lecz jedna tylko gwiazda prowadzi
nas w dal:
żeglarska nasza gwiazda przewodnia
i jedno tylko miasto, którego nam
żal,
w tym naszym życiu wędrownym:
Gdzie kolorowe światła tak migocą,
gdzie krany skrzypią dniami i nocą,
gdzie Bałtyk srebrzy falą siną
i gdzie najmiłsza, gdzie jedyna,
na brzegu czeka cię dziewczyna,
morze lazuruje, miasto betonowe
— G D Y N I A.*

*Wśród obcych mórz — płyniemy
w dal,
w zgiełk bitw i burz — na grzbietach
fal,
lecz przyjdzie kres wędrowki
i szczególnie nasz wróg,
na kurs znajomy sternik zawróci
i u brzegów ojczyznych pozwoli
nam Bóg
znowu kotwicę zarzucić:*

*Gdzie kolorowe światła tak migocą,
gdzie krany skrzypią dniami
i nocą . . . i t.d.*

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

Składanie przysięgi przez marynarzy



Bez blackoutu

odwrocie zdjęcia: "Ci chłopcy znają mnie dobrze".

Bardzo nam drogi Wilfredzie. My żołnierze polscy w Wielkiej Brytanii poznaliśmy Ciebie dobrze ze słów listu, za który jesteśmy szczerze wdzięczni. Sądzymy, że nie będziesz miał nic przeciw temu, gdy Czytelnikom "Polski Walczącej", rozsiadym na szerokim świecie, przekazemy jako dowód Twojej i Twoich Przyjaciół pracy, kilka wyjątków z Waszego doskonałego pisma: "The Polish-American Youth Federation Magazine". /Magazyn Związku młodzieży polsko-amerykańskiej/. W ten sposób poznamy się wzajemnie jeszcze lepiej. Powtórzenie niektórych ustępów Waszych artykułów w polibnym choćby skrócie wydaje się tym praktyczniejsze, że, jak sam "general manager" magazynu Frank Lutiński pisze:

"Due to the scarcity of paper it is difficult for us to print over the customary 500 copies of this magazine. When you have finished reading it, will you please pass it on to a neighbour . . ."

/Wobec braku papieru trudno nam drukować więcej, aniżeli normalne 500 egzemplarzy naszego pisma. Gdy przeczytasz, oddaj je proszę któremuś ze swych przyjaciół./

Więc dzisiaj chcemy "pass it" /podać dalej/ do żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii i we Włoszech, do Polaków na całym świecie, a nawet pragniemy, żeby w tej drodze Czytelnicy nasi korzystając z angielskiego tekstu magazynu przekazali niektóre przedrukowane w tym felietonie ustępy przyjaciółom brytyjskim. Młodzież, to przyszłość świata; warto wiedzieć, jak pewne rzeczy odczuwa, jak rozumuje, szczególnie jeżeli wypowiadzi się w sposób prosty i podawane bez ogródek jak w owoym polsko-amerykańskim magazynie.

Pismo to z wielu względów jest nam bardzo mile. Otwieram je na str. 3, gdzie znajduje artykuł p.t. "Our great PAYE Family" /Polish-American Youth Federation/ /Nasza wielka rodzina — Związek młodzieży polsko-amerykańskiej/. Z tej rodzinnej kroniki dowiadujemy się, że . . . "Our friend Johnny Pietruch of West Trenton left for Pearl Harbour". Redaktor tego odcinka zapewnia Miss Bertę Bizon, że "We are one big Polish-American Family . . ." Przemila jest cała rodzina. I ten Bob Timka i Mary Okronglis i ta Stefanie Kocur i Johnny Królewskie, Luizy Dombrowskie, Mildre-

dy Pileckie i Liliana Kobylińska, Olivia Okowita i Dolores Ligawa . . .

"General manager", wspomniany Frank Lutiński, przypomina nie bez pewnej dumy, że ta rodzina obejmuje w chwili obecnej ponad 20 stanów Ameryki Północnej. Wśród zadań organizacji na pierwszym planie stawia autor budzenie sympatii dla Polski i opiekę nad jej przyszłością. W ten sposób rozpoczęta w roku 1943 robota tych młodych ludzi odpowiada całkowicie duchowi majowego kongresu w Buffalo. Zbliżają się oni do nas, szukają dróg do Polski i myślą o jej przyszłości. Wyjdźmy więc im naprzeciw. Wyciągnijmy serdeczną dłoń. Jeżeli polskie organizacje młodzieżowe na terenie Wielkiej Brytanii do tej pory nie nawiązały z nimi kontaktu, niechże spieszenie nadrobią zwołokę. Adres: Wilfred Mis, P.O. Box 12, Chicopee Falls, Mass., U.S.A.

Przyuszczam, że najwięcej zaciekaWi Czytelników polityczny artykuł Wandy Kugaczewskiej p.t. "The Round Table" /Okrągły stół/. Jest to jedna z tych Wand, z których możemy być dumni w chwili obecnej. Stawia ona sprawę bardzo otwarcie, po amerykańsku. Pozwalamy sobie przedrukować dwa najbardziej charakterystyczne ustępy:

" . . . After September 1, 1939, when the war became a grim reality, the Allied propaganda machine went into action. Poland emerged as a valiant nation fighting for her honour and for democracy." Her challenging battles on the eastern front provided the western allies with precious weeks of preparation for the Nazi onslaught. So Poland was acclaimed a heroic vanguard, and the public was reminded of Chopin, Copernicus, Jan Sobieski, Madame Curie and Paderewski.

"As 1944 approaches, the picture changes completely. Axis influence is waning rapidly and Russia is emerging as the victor on the eastern European front. All very well and good. We believe that Russia, for her valour and her sacrifices, is entitled to world recognition as a great Power, but NOT AT THE EXPENSE OF OTHER COUNTRIES.

" . . . If we told a Yankee to return California to Mexico, it would be unthinkable; ask an Englishman to relinquish India, and he'll let out a bloody yell; yet when Poland meekly demands that which is rightfully her's—her own piece of earth for which she fought and bled and shed bitter tears to hold—let her say just one word in defence of her territory, and she is immediately pounced upon and called a 'pariah,'

a 'dissenter' and a serious obstacle to world peace."

/Po pierwszym września, kiedy wojna stała się już tragiczną rzeczywistością, zaczęła działać machina propagandowa Sprzymierzonych. Polska była "dzielny narodem, walczącym o swój honor i o demokrację". Jej działania bojowe na froncie wschodnim daly Sprzymierzonym na Zachodzie cenny czas na przygotowanie się do odparcia napaści nazistowskiej. Polskę chwalało więc jako bohaterską straż przednią, publiczności przypomniano nazwiska Chopina, Kopernika, Jana Sobieskiego, Marii Curie i Paderewskiego.

W zaranu r. 1944 obraz zmienił się całkowicie. Wpływ państw osi zanika gwałtownie a na froncie wschodnim zostaje zwycięzca Rosja. W porządku. Wierzymy, że Rosji, za jej dzielność i ofiarność, należy się uznanie przez cały świat za mocarstwo, ale nie powinno się to dzieć kosztem innych narodów.

Nie do pomyslenia byłoby zaproponować jakimś Amerykaninowi zwrócenie Kalifornii państwu meksykańskiemu; Anglik na propozycję wyrzeczenia się Indji odpowie morderczym krzykiem, ale kiedy Polska skromnie domaga się tego, co jej się prawnie należy — zachowania własnego kawałka ziemi, za który walczyła, krwawiła się i wylewała gorzkie łzy, kiedy powie choć jedno słowo w obronie swego terytorium, natychmiast się ją ucisza, nazywa "pariasem" i "odstępca" i poważnym szkoniem wobec wysiłku ustalenia pokoju światowego./

Myślę, że przepisaniem najważniejszych ustępów z jego ukochanego pisma damy Wilfredowi najlepszy dowód naszej czułości i łączności.

Piszę te słowa w chwili, gdy do Wilna zbliża się ofensywa Armii Czerwonej, gdy sprawa stalego podkreślenia praw polskich szczególnie wydaje się żywozna. O takiej polskiej niezłomności pisze w omawianym magazynie właśnie nasz przyjaciel Mis. Artykuł "Poland fights on" /Polska walczy/ kończy słowami:

" . . . We, the American youth of Polish descent, are proud of our fighting brothers—Polish soldiers, sailors and pilots. We are proud of Poland, the mother country of our parents . . ."

"My, młodzież amerykańska polskiego pochodzenia, dumni jesteśmy z naszych walczących braci — żołnierzy polskich, marynarzy i lotników. Jesteśmy dumni z Polski, ojczyzny naszych rodziców."/

Drogi Przyjacielu! My jesteśmy dumni z tej siły narodowej, która mimo przestrzeni i czasu łączy Johna Pietrucha i Oliwię Okowitę z nami, wdzięczni jesteśmy Matkom Waszym i Ojcom, którzy

uczyli Was wielkiej miłości dla Polaki. Słusznie myślą naprzód aż do Okrągłego Stołu konferencji pokojowej, ale trzeba sięgać dalej. Myślmy już dziś jak w pierwszym na pewno bardzo trudnym okresie niepodległości polskiej, utrzymamy i wzmocnimy współpracę między Polską i Ameryką, jakimi sposobami osiągniemy wzajemne poznanie się i zbliżenie. Zagadnienie to docenił należycie i dyskutował Kongres majowy w Buffalo.

Drogi Przyjacielu Wilfredzie, potrzebna nam jest nie tylko federacja środkowej Europy, ale również federacja wszystkich Polaków rozsiadanych na całym świecie. Bo gdzieś znajdziemy lepszych ambasadorów polskiej racji stanu? Wy — to coś więcej, niż najwytrawniejszy przedstawiciel ministerstwa spraw zagranicznych, Wy — to coś więcej, niż najobrotniejsza filia ministerstwa informacji. Dlatego w chwili, gdy już nie tylko losy Polski, ale całej Europy stają się tematem aktualnych artykułów czołowych publicystów Wielkiej Brytanii — musimy my, przede wszystkim, przewidywać i myśleć wybiegać dalej. Przekazujemy Wam cenne dla nas słowa redaktora Voigta, wydawcy miesięcznika: "Nineteenth Century and after". Znakomity ten publicysta, wierny przyjaciel sprawy polskiej, napisał w majowym zeszytce w artykule p.t. "The Question" /Pytanie/:

"Europa jest bezwzględnie największą siłą świata, tak materialną jak i duchową. Choć złożona i pełna sprzeczności, Europa jest zdolna do organicznego scalenia — od Morza Bałtyckiego do Morza Egejskiego, od wschodnich granic Polski po Zatokę Biskajską. Anglia ma do wyboru: pójść z Europą albo bez Europy. Jeśli Anglia pójdzie z Europą, Europa odnajdzie siebie — i nie będzie już trzeciej wojny światowej. Jeśli Anglia Europy się wyrzeknie, Europa wyrzeknie się Anglii. I mimo to Europa odnajdzie siebie, choć już nie z naszego pokolenia i choć nie bez trzeciej wojny światowej. Jedyny pokój sprawiedliwy to pokój, który przywróci nam Europę — Europę na straży puścizny, jaką przekazały nam Ateny, Rzym i Jerozolima.

Oto zagadnienie pokoju, zagadnienie naszego pokolenia i przyszłych pokoleń. W porównaniu z tym wszystko inne się nie liczy. Nie liczą się ani Niemcy, ani Francja, ani Rosja, ani Polska, ani Anglia, nie o to chodzi. Chodzi o Europę. Czy ma być Europa, czy nie ma jej być? Oto pytanie."

Trzeba nam wyrazić życzenie, by pytanie, które aktualnie staje przed Europą i Polską "to be or not to be" /być albo nie być/ doczekalo się właściwej, jedynie możliwej odpowiedzi.

WIKTOR BUDZYŃSKI

W. E. Mis redaktor "The Polish-American Youth Federation Magazine" z żołnierzem polskim w Windsorze

W ostatnim numerze "Polski Walczącej" redakcja wydrukowała list, nadesłany pod jej adresem z U.S.A. Miłym korespondentem jest młody dziennikarz Wilfred E. Mis — jak wynika z listu — Amerykanin urodzony w Polsce, którego rodzice pozostali pod okupacją niemiecką.

" . . . Wszystko co miałem, co całym sercem ukochałem — tam w Polsce — zniszczone . . . Moim marzeniem wrócić do Polski . . ."

Pragnęliśmy dzisiaj w imieniu nas wszystkich odpowiedzieć Wilfredowi, z którym łączą nas wspólna tęsknota i wspólna praca dla dobra Polski. Bo Mr. Mis konsekwentnie i uparcie, a co najważniejsze, owocnie pracuje dla Polski na terenie Ameryki. Działalność jego obejmuje bardzo ważny teren młodzieży polsko-amerykańskiej.

Nasz przyjaciel, jak wynika z załączonych do listu zdjęć fotograficznych, a przede wszystkim z doskonałego "magazynu" — pisma młodzieży polsko-amerykańskiej, wie dobrze, o co mu chodzi, umie pracować i wykazuje dużo energii. Widzimy go na fotografiach z grupą młodzieży polsko-amerykańskiej, na konferencji w Pensylwanii. Jedno ze zdjęć, dokonanych w Windsorze, podpisuje Wilfred: "Ja z jednym chłopakiem z Warszawy". Z zadowoleniem przypatrujemy się temu Warszawiakowi w mundurze żołnierza polskiego, złączonemu uściskiem z młodym Amerykaninem. Widzimy Wilfreda w niedzielne popołudnie przy awionetce w Massachusetts i w Kanadzie w obozie Kościuszki w dużej gromadzie żołnierzy polskich, o których pisze potem na

St. R. — 9 pytań. Przytaczamy poniżej w całości pański list, zawierający dziewięć różnych pytań. A więc pisze pan:

"Korzystając z faktu, że udzielają WPanowie w "Poradniku Żołnierskim" wyjaśnień i odpowiedzi, proszę uprzejmie o wzięcie pod uwagę moich pytań: 1/ Czy kapral w wojsku polskim jest podoficerem? 2/ Jeśli tak, to dlaczego do Związku Podoficerów i do Kasyn Podoficerskich nie dopuszczono kaprali? 3/ Jakie jest starszeństwo wojskowe między kapralem zwykłym i kpr. podchorążym? Czy kapral /awansowany w r. 1938/ jest starszy od podchorążego /awansowany do kpr. pchor. w r. 1943/? 4/ Czy podchorążemu przysługuje tytuł "pan" gdy się do niego młodziej zwraca? 5/ Czy podchorążowie mogą należeć do Związku Podoficerów? /w Polsce był to fakt niespotykany — ale tutaj jest praktykowany/. 6/ Czy podchorąży ma prawo jadać w kasynie oficerskiej, czy też zależy to tylko od jego woli? 7/ Czy podwyżka żołdu w armii brytyjskiej — obowiązuje i w armii polskiej? 8/ Czy można bez podania powodu zrzec się posiadanego stopnia wojskowego? 9/ Czy wyjazd do stref zakazanych tyżca wojska? /prasa podawała, że wojsko i członkowie parlamentu mogą jeździć do stref zakazanych, ale tylko w ważnych powodach — w wojsku natomiast w ogóle nie wyjąda do stref zakazanych przepustek bez względu na powód/.

Licząc, że mi panowie jasno na wszystkie pytania odpowiedzą, łączę żołnierskie pozdrowienia".

Postaramy się odpowiedzieć panu najjaśniejszemu i najprościej, według kolejności postawionych pytań.

1/ Na pierwsze pytanie odpowiadamy twierdząco: tak.

2/ Nie ma w wojsku żadnego "Związku" podoficerów. W kasynach podoficerskich stołują się podoficerowie, przeważnie od plutonowego wwyż — bardzo często z pominięciem kaprali z powodu braku miejsca. Zazwyczaj w każdym oddziale liczba kaprali mniej więcej dorównuje liczbie wszystkich podoficerów od plutonowego wwyż.

3/ Starszeństwo w stopniu jest jednakże, niezależnie od tego, czy dany podoficer jest podchorążym czy nim nie jest. Jednakże w pewnych wypadkach podchorąży pełnią moze funkcje oficerskie i wówczas starszeństwo stopnia nie wchodzi w rachubę.

4/ W Wojsku Polskim regulamin przewiduje, że każdy młodszy stopniem zwraca się do starszego stopniem przez "pan" — niezależnie od tego czy jest podchorążym, czy nie. Jak sam pan pewnie zauważył, w praktyce najczęściej jednak bywa tak, że również oficerowie, nawet nie-

raz służbowo, zwracają się do swoich podoficerów przez "pan".

5/ Pytanie niejasne. Jak już wspomnieliśmy — w wojsku nie ma "Związku Podoficerów". Jeśli chodzi panu o sprawę kasyn podoficerskich, to podchorążowie stołują się w tych kasynach na równych prawach z in-

nymi podoficerami-stołownikami danego kasyna.

6/ Odnosny przepis brzmi: podchorążowie mają prawo wstępu do kasyn oficerskich bez obowiązku stołowania się. Sprawa stołowania się podchorążych w kasynach oficerskich także często napotyka na te same trudności z powodu braku miejsca, zwłaszcza gdy w danym oddziale jest większa liczba podchorążych. Ta sama więc historia co z kasynami podoficerskimi.

7/ Musi wpiery ukazać się odnośne zarządzenie polskich władz wojskowych. W zasadzie uposażenie armii polskiej jest takie samo jak brytyjskiej.

8/ Zaznaczymy, że nie słyszeliśmy o wypadku zrzeczenia się stopnia, więc nie możemy powiedzieć, jak w takim wypadku należy postąpić. Takie wystąpienie mogło by się wydać demagogiczne, a w każdym razie nikomu pożytku nie przyniesie.

9/ Pojęcie "ważnego" powodu bywa b. różnie rozumiane. Jeśli powód jest istotnie ważny — zezwolenie uzyskać można, ale od władz brytyjskich. Czytał pan zapewne w prasie angielskiej, że władze odmawiały zezwoleń na wyjazd do stref zakazanych nawet księżom w sprawach związanych z udzielaniem ślubów. Na pewno uzyskanie takiego zezwolenia będzie rzeczą b. kłopotliwą.

Dodatkowo, w odniesieniu zarówno do pierwszego pytania, jak i do wszystkich pozostałych, możemy przypomnieć to, o czym zresztą wszyscy dobrze wiemy, że armia nasza na emigracji, jak wszystkie tego rodzaju armie, cierpi z powodu braku normalnych stanów na brak równowagi w stopniach /pod względem ilości tych stopni/. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza teraz, by zbyt pochopnie nie dochodzić do niewłaściwych wniosków.

Por. Wł. Ch. — Sprawa adresów Polek z Ameryki. — Dziękujemy za nadesłane 24 adresy Polek z Ameryki, które pragną nawiązać korespondencję z żołnierzami polskimi w języku polskim lub angielskim. Adresy te przestaliśmy, jak poprzednio, do jednej z Brygad naszej Dywizji Pancerniej.

Poradnik żołnierski

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE GODEŁ PAŃSTWOWYCH

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę Pana na pozór błahą sprawę, jaką jest wywieszanie barw państwowych na budynkach, zajmowanych przez nasze instytucje, urzędy, czy zakłady, zarówno wojskowe, jak i cywilne. W sprawie tej bowiem panuje u nas jakiś dziwny nieporządek.

Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że przyjętym na całym świecie zwyczajem jest, że urzędy czy instytucje państwowe są oznaczone godłami narodowymi, zwłaszcza gdy urzędy i instytucje te znajdują się na terenie innego państwa. Jest to zrozumiała chęć ujawnienia swej obecności i swojego udziału w życiu zbiorowości międzynarodowej.

Z tego względu widzimy obecnie na terenie W. Brytanii wiszące stale lub okazynie olbrzymie standardyzowane co do wielkości i wykonania chorągwie Stanów Zjednoczonych A.P., Francji, Czechosłowacji i wielu innych narodów, manifestujących swoją obecność, święcących uroczystości narodowe, oraz zaznaczających swój udział w rocznicach pamiętkowych innych narodów sprzymierzonych. Na tym tle państw, my pod tym względem wyglądamy słabo — po prostu znowu nas nie ma. Dziwić musi niejednego Brytyjczyka, gdy w uroczyste święta brytyjskie znane mu urzędy czy instytucje polskie nie wywieszają swoich barw narodowych na znak swego udziału w świecie

sprzymierzenia i gospodarza. Zdziwiłby się on jeszcze bardziej gdyby wiedział, że wiele instytucji czy zakładów polskich nie zaznacza nawet własnych świąt narodowych. Tak wygląda ta sprawa w ośrodkach, w których prawdopodobnie beczynność, bierność i apatia zbyt się rozwieliżniły.

Są jednak ośrodki, przede wszystkim oddziały wojskowe, które rozumieją potrzebę tych form uzewnętrznienia odrębności państwowej. Dzięki staraniom i poświęceniom osobistych kuponów robi się chorągwie narodowe, które w swoich rozmiarach, wykonaniu, a nawet w barwach, stanowią istną mozaikę. Nielktóre z nich przedstawiają raczej żalony wygląd.

Na jednej z ulic Edynburga w niedużej od siebie odległości znajdują

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES LTD CARGREAV ROAD, LONDON, E.E. 23

CZYTELNICZY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JENCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr.nr. 18, 19, 20 i 21 "Polski Walczącej" wysłano 344 paczki: 38 paczek żywnościowych /a 10s/ i 306 paczek papierosowych a 1000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzania dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

dr. Witold Alina

Dla Polaków w Rosji: £10,991

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu maju i czerwcu 1944 r kwotę £6.10.0.

Dear Sir,
Will you please put enclosed £1 to your fund for the Polish Red Cross from the "Five Rummies".
Yours truly,
Mrs. A. Sharp

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £7.10.0

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!
Przed paru dniami w Kraju i na całym świecie chylili Polacy w żalobnym holdzie głowy w pierwszą rocznicę tragicznej żołnierskiej śmierci ś.p. Gen. Sikorskiego.

Nie czas dziś na szumne słowa i pomniki — nie zapomni o nich historia i wdzięczny Naród w dniach chwały i odrodzenia. Ale już dziś możemy uczcić pamięć Wielkiego Polaka przez nasz własny choćby najskromniejszy wkład do inicjatywy brytyjskiej związanej z imieniem Gen. Sikorskiego.

British Committee for Polish Welfare — Polish Children Rescue Fund, Hospital Fund, Lady Anstruther, 1, Hill Street, London, W.1. wystąpił z inicjatywą zorganizowania i pełnego wyposażenia przenośnego szpitala na 250 łóżek dla polskich dzieci w Kraju. Szpital będzie nosił nazwę "The General Sikorski Memorial Hospital for Children".

Koszta wyposażenia na jedno łóżko wynoszą £250.

Jest nas wiele tysięcy Polaków w Wielkiej Brytanii. Droga jest nam pamięć Gen. Sikorskiego — drogi jest nam los dzieci w Kraju.

/słownie: siedm funtów, dziesięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,991.45 /słownie: dziesięć tysięcy, dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden funtów, cztery szylingi i 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Jeśli każdy z nas ofiaruje na ten cel tylko po 1 sh. przyczynimy się do wyposażenia szpitala w wiele łóżek, których niestety przez długie jeszcze lata bardzo będzie w Polsce potrzeba dla naszych dzieci.

Stwórzmy fundusz: "Czytelnicy "Polski Walczącej" na Szpital im. Gen. Sikorskiego dla dzieci". Nie powinno nas zabraknąć na liście ofiarodawców, na której znajdzie się wiele nazwisk i instytucji brytyjskich.

Uczcijmy w ten sposób imię Generała i wypełnijmy swój obowiązek wobec tych w Kraju, którzy tak bardzo tej pomocy potrzebują.

Na zapoczątkowanie Funduszu pozwalam sobie przesłać do Redakcji "Polski Walczącej" £28.0, zebrane wśród Kolegów.

Czy nie możnaby ponadto użyć na ten cel części wpłat całego wojska na Fundusz Społeczny?

Czy poszczególne Brygady w W.J. lub pułki nie mogłyby ufundować łóżek swego imienia — pozwalam sobie poddać to pod rozprawę Kolegów w oddziałach.

W.Z.

Dla jeńców "paczki od serca": £3,569

Kochany Redaktorze,
W załączeniu przesyłamy 4 Money Orders AC. 78535, AC. 78557, AC. 78597, AC. 78611 na łączną kwotę £114 sh.18 d1 zebraną w czasie objazdu I. Dywizji Pancerniej z programem: "Na powrotnej fali" w czasie od 7 — 14 lipca br.

Złożyli tę sumę i za pośrednictwem "Polski Walczącej" przekazują na "Paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech oficerowie i szeregowi następujących oddziałów: Saperzy Dywizji Pancerniej £ 8.12. 1 Brygada Pancerna £21 14. Szwadron sztabowy £ 3. . 4 ... part.mot. £ 3. 2.10 ... Brygada Strzelców ... £24.17. 6 ... part.mot. £ 8 3. 7 Pancerny Pułk Rozpoznawczy £ 8.10. Kompania Sanitarna £ 2.11. 1 Pułk ppanc. p. art. plot. i zgrupowanie S. £34. 6. 8

Razem £114.18 1

Pragniemy podkreślić, że zbiórka na "Paczki od serca" spotyka się nadal wśród ogółu żołnierzy I. Dywizji Pancerniej z gorącym poparciem. Za wielką ofiarność i pomoc w przeprowadzeniu tej akcji składamy raz jeszcze wszystkim ofiarodawcom wyrazy najszerszego uznania i podziękowania.

Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

Dear Sir,
I should be greatly obliged if you would accept the enclosed 3/- as a subscription for Polish Prisoners of War Fund from the National Fire Service, Bolton, Lanc, which amount was paid to cover my travelling expenses when giving a Talk on Poland on Thursday, the 6th July, 1944
Yours faithfully,
Major J.K.Z.J.

Redaktor "Polski Walczącej",
Proszę o przekazanie kwoty £10 na paczki od serca dla jeńców w Niemczech.

Pieniądze powyższe pochodzą z dochodu z zabawy urzędowej przez żołnierzy Baterii Dowodzenia ... D.A.Mot.

Dowódca Bat. Dow. kapitan W.P.

W załączeniu przesyłam 3 Postal Order na kwotę £29.0 /słownie: dwa £, dziewięć sh./ jako równowartość 10 dolarów amerykańskich, nadesłanych mi przez matkę chrześną Miss Zophie Hydzik z Chicago, na moje wydatki.

Dziękując jak najserdeczniej Miss Zophie Hydzik, przeznaczam tę kwotę na "paczki od serca" naszym jeńcom wojennym.

Proszę uprzejmie o umieszczenie powyższego w "Polsce Walczącej", gdyż chciałbym jeden egzemplarz przesłać ofiarodawczyni.

Z poważaniem J.S.

Dear Sir,
I have much pleasure in enclosing you herewith a cheque for £17 4s. 6d. being half the proceeds of a concert I organised. Please accept this money as a donation towards your Prisoners of War Parcel Fund. The concert was arranged with the help of the ... Polish Mounted Rifles Regt. and the Ladies' Choir of the Anglo-Polish Society of Bradford.

I am enclosing you an account of the concert, no doubt you can translate it into Polish and put it in your paper.

Yours faithfully,
Geo. W. Shimmin /Organiser/

Szanowna Redakcjo,
Dołączam £7.10.0 na rzecz "paczek od serca". Sumę tę uzyskałem ze

sprzedaży złotej obrączki ofiarowanej na cele charytatywne polskie "anonimowo w sklepie W. Falski" przez Angielkę na moje ręce.

Z poważaniem inż. Fa.

Please find cheque to the value of £7 10.0 being the amount given for a golden ring, sold in the shop of "W. Falski" and was sent to the "Parcel from Heart" Fund by an anonymous English donor to be used for Polish charitable purposes.

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu pozwalam sobie przesłać czek na sumę £4 sh.11. Suma ta zebrana została na paczki dla jeńców wśród uczestników V kursu dla działaczy społecznych z Francji, Belgii, i innych krajów Europy Zachodniej, zorganizowanego w Edynburgu przez Światowy Związek Polaków w Zagranicy. Uprzejmie proszę Pana Redaktora o wpłaceniu powyższej sumy na odpowiedni fundusz zbierany za pośrednictwem "Polski Walczącej".
Z poważaniem

Wice-Dyrektor B. Wierzbianski

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £156.15.7 /słownie: sto pięćdziesiąt sześć funtów, piętnaście szylingów i 7d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polakom Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,569.0.11 /słownie: trzy tysiące pięćset sześćdziesiąt dziewięć funtów i 11d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

W LONDYNIE PRZY HYDE PARK CORNER



Amerikanin: — Dziwna jest ta rzeźba! Nie wiem dlaczego te konie są tak spłoszone?
— Nie wiesz? Przecież pod nimi jest umieszczona syrena alarmowa.

NOWE OKREŚLENIE

—Panie szefie, proszę o przepustkę, chcę się pożegnać z żoną!
—Nie błądźcie! Wasza żona jest w Kraju!
—Panie szefie, to pan nie wie, że ja jestem teraz "mężem czasu wojny?"

AKTUALNA PIOSENKA W LONDYNIE — NA STARĄ NUTE ...
"Pamiętasz Rothsay, to ciche ustroenie" ...

ROZMOWA W BARZE

—Nie mogę zrozumieć, dlaczego gen. de Gaulle nie jest w tej chwili na przyczółku we Francji?
—Czy pan oszalał? To pan nie wie, że cudzoziemiec za żadne skarby nie dostanie wizy wyjazdowej do Francji? ...

POWIEDZONKO

O rodakach, którzy nie schodzą do schronu w czasie nalotów, mówi się, że śpią z uszami wywieszonymi za okna ...

Z DZIEDZINY MODY



Helm noś nawet przy zakupach ...

ODWRÓCONE HASŁO ANGIELSKIE



Hitler: — "Czas na nas pracuje!" ...

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE

"Naloty nam spowszedniały", rzekł Mr. Peddie. "Nikt o nich nie gada następnego ranka chyba, że miał bezpośrednie uderzenie /direct hit!"/. /Wycinek z Daily Mail/.

Pewien stary cockney zapytany czy się nie boi podczas nalotów, odpowiedział: "Nie Panie! Nie boję się. Widzi Pan obliczam moje szanse. Po pierwsze musi taki wariat przelecieć ponad Kanalem, a to nie zawsze mu się udaje. Potem musi przelecieć ponad naszym wybrzeżem. I tam na niego czekają. Potem nad południową Anglią. Wreszcie przychodzi nad Londyn. Ale wtedy musi znaleźć Hammersmith, potem Acacia Road, potem numer 89 a potem ... ja prawdopodobnie będę w pubie".

Pewien korespondent "Sunday Times'a" apeluje w liście do redakcji o utrzymanie zawodów sportowych w Anglii w jak największej skali, gdyż "jeśli nie będzie sportu, nie będziemy mogli posyłać wyników na-

NA KURSIE SANITARNYM

—Panie poruczniku! Jest ranny żołnierz, puls zanika, pacjent traci przytomność. Co pan robi w pierwszej chwili?

—Daję zastrzyk morfiny!
—Bardzo dobrze! Jaką dawkę pan daje?

—10 gramów!
Chwila milczenia. Po dwu minutach zdający odzywa się:

—Panie pułkowniku, chciałbym zrobić poprawkę, pomyliłem się!

Pułkownik-lekarz patrzy na zegarek:

—Zapóźno! panie poruczniku, pański pacjent zakończył życie czterdzieści sekund temu! ...

AUTENTYCZNE

Na przystanku autobusowym w Szkocji stoi polski żołnierz, który niedawno przybył do W. Brytanii. Obok zatrzymała się Szkotka. Po chwili toczy się rozmowa, przeplatana gestykulacją rąk:

—Ju no?
—Yes, yes! I know all about ...
—Migoł, jugoł, basgoł, tugoł sine-ma?

—Yes! We will go together!
—Okej, migoł, basgoł, tugoł sine-ma ...

I w pięć minut później autobus ruszył z młodą parą w kierunku kina ...

GDZIES W ANGLII



—John, ten jegomość chyba zwariował, od tygodnia stoi stale pod parasolem! ...
—Nie, tylko on udaje, że ma dach nad głową ...

Tekst i rysunki: TONY

KURS KORESPONDENCYJNY

JÓZEF GAPA ur. w r. 1910 poszukiwany przez brata, Wiadomości proszę kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Co ma uratować Niemcy. — Matka Boska Wysiedlona. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Janusz Laskowski: Kwiaty z normandzkiego brzegu /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Z Polski Podziemnej /Żołnierz Armii Krajowej: Walka w ostonie. Świadek: W magicznym kregu. Jan Nowak: "Tu mówi Polska Podziemna"/. — Armia Krajowa żyje, szkoli się i walczy /Reportaż fotograficzny/. — Stanisław Mioduszewski: Tam, gdzie "rodzą się" marynarze. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Poradnik żołnierski. — Skrzynka pocztowa. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września br. Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej, studiującej w szkołach brytyjskich; korzystając z niego może również młodzież, znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii. Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego dostarcza uczestnikom materiału lekcyjnego z religii, języka polskiego, historii Polski i geografii Polski w zakresie gimnazjum.

W nowym roku szkolnym, 1944/45, będą prowadzone dwa kursy:

1/ dla nowozgłoszonych, 2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przetrzobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozsyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teaching by Correspondence, 61, Hillhead Street, Glasgow, W.2.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.3. Kwartalnie z przesyłką pocztową (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden tam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

PODZIĘKOWANIE

Panu Profesorowi medycyny Uniwersytetu Stefana Batorego, ordynatorowi oddz. otolaryngol. 4-go Szpita. Woj. A.P.W. ppor. dr. CZARNOWSKIEMU CZESŁAWOWI za przeprowadzenie trudnej operacji, wyleczenie mnie z ciężkiej choroby i przywrócenie mnie do życia, tą drogą składam moje najlepsze podziękowanie.

Inż. L. Wandycz A.P.W.

Siostrze Oddz. otolaryngol. 4-go Szpita. Woj. KOSSOWSKIEJ ZOFII, CECENIOWSKIEJ NUNIE, ŁYCZYŃSKIEJ ZOFII, PIKUTOWNIE JADWIDZE, za okazanie mi tak wielkiej troski, opieki — za ich tak ciężką i w tak trudnych warunkach pracę w czasie mojej choroby, tą drogą składam moje najlepsze podziękowanie.

Inż. L. Wandycz A.P.W.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyde, London, W.C.1